Nr. 21. Warszawa, dnia 26 (14) Maja 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PRZEWRÓT W SERBII.

Od chwili, w której dwie instancye sądowe przekreśliły ukaz króla, przywracający jego ojcu prawa utracone, a raczej sprzedane, nie pozostawała żadna wątpliwość, że młody monarcha serbski ma dwie drogi: albo zrzec się tronu, albo dokonać zamachu stanu. Wybrał ostatnią, mianowicie przywrócił konstytucyę z r. 1869, dającą mu w ręce cugle rządów. Trudno odegrać niższą rolę polityczną, niż ta, którą odegrał Milan, sprawca przewrotu: dobrowolnie złożył koronę, dobrowolnie sprzedał swoje prawa monarsze, ojcowskie i obywatelskie, za oznaczone i dość wysokie sumy zobowiązał się nigdy nie pretendować do tronu, nie opiekować się synem, nie powracać do kraju, a gdy wzięte pieniądze stracił, złamał wszystkie zobowiązania, przyjechał do Serbii i namówił syna do wydania ukazu na swą korzyść. Partya tedy radykalna miała aż nadto wiele racyi do oburzenia i oporu, ale z drugiej strony młody król, zrobiwszy raz krok, który go wprowadził w starcie z parlamentem i sądami, musiał go bronić, jeśli chciał dalej panować. Wskrzeszenie dawnej konstytucyi a z nią większej władzy monarszej było zdaje się jedynym ratunkiem. Jakąż jest ta konstytucya i władza? Przedewszystkiem skupczyna pozostaje w większej zależności od tronu. Jej członkowie bowiem tylko w $^3/_4$ wychodzą z wyborów, $^1/_4$ zaś mianowana jest przez króla. Nadto i ci wybrani nie są w całym swym składzie powoływani przez naród bezpośrednio. Tylko w głównych miastach okręgowych głosowanie jest bezpośrednie, w innych dwustopniowe — zapomocą prawyborców. Tym sposobem zebrana skupczyna wykonywa władzę prawodawczą, ale może się zajmować tylko temi sprawami, której jej powierzone zostały przez konstytucyę lub poddane jej rozpoznaniu przez króla. Sama inicyatywy prawodawczej nie posiada, a przytem każda jej uchwała musi uzyskać zatwierdzenie monarchy. Winna się ona zbierać corocznie na sesyę zwyczajną, a w razie potrzeby — na nadzwyczajną. Zwołanie, otwarcie i zamknięcie jej zależy od króla, który również może ją odroczyć (nie dłużej, niż na 6 miesięcy) lub rozwiązać, ile razy zechce. On także mianuje jej prezesa i vice-prezesa. Dodać tu jeszcze należy, iż król zaopatrzony jest szeregiem przywilejów prawodawczych w przerwach między sesyami skupczyny, a jakkolwiek niektóre z jego rozporządzeń podlegają jej zatwierdzeniu, może on z nich jednak robić bardzo obszerny użytek. Zaledwie potrzebujemy nadmieniać, że włada nieograniczenie całą administracyą.

Jak widzimy już z tego krótkiego przedstawienia, po za którem ukrywa się mnóstwo szczegółów, wzmacniających władzę korony, ma ona wiele skutecznych środków, zapomocą których może przeprowadzić swoje zamiary. Naprzód czwartą część posłów mianuje sama z ludzi, którzy zawsze oddadzą jej swoje głosy. Powtóre obaj kierownicy obrad parlamentarnych są także jej urzędnikami, którzy potrafią zapobiedz niepożądanym mowom, a nawet wykluczyć zuchwałych. Konstytucya z r. 1869 przewiduje rozmaite „obrazy,“ za które winni są usuwani ze skupczyny. Jeżeli ma się do rozporządzenia armię, administracyę kraju, sądownictwo, czwartą część parlamentu, to można stawić czoło nieprzyjaciołom wewnętrznym, zwłaszcza gdy ci dzięki wyborom pośrednim nie wyjdą z urny zbyt liczni.

Następstwa wskrzeszenia dawnej konstytucyi już się uwidoczniły. Kilka gazet radykalnych, nie czekając przymusu, zawiesiło swe wydawnictwa, a wszystkie pozostałe przeszły pod cenzurę. Najważniejsze posady w administracyi i sądownictwie dostały się żywiołom lojalnym — liberałom i postępowcom. W armii również mają być przedsięwzięte skrupulatne rewizye sposobu myślenia oficerów. Nakoniec prezesem rady stanu zamianowany został człowiek twardej ręki, Mikołaj Christicz. Ponieważ ciało to będzie jednym z najważniejszych czynników, więc objaśniamy, że składa się ono z 15 członków, powoływanych przez króla z liczby osób, które urzędowały przynajmniej lat 10, ukończyły lat 35 i posiadają majątek nieruchomy w Serbii. Głównem zadaniem rady stanu jest przygotowywanie projektów do praw i rozporządzeń administracyjnych, upoważnianie króla do zaciągania pożyczek lub kredytów dodatkowych po za skupczyną itd. Jest ona również najwyższym trybunałem administracyjnym.

Mimo wszystkich tych bardzo potężnych środków, którymi obecnie rozporządza król, niepodobna wyłączyć możliwości, że one okażą się niewystarczającymi do stłumienia ruchu radykalnego. Pamiętajmy bowiem, że ruch ten jest prądem, przenikającym znaczną większość narodu, który przytem, jak wszystkie społeczeństwa, ulegające bardziej gorącym namiętnościom, niż chłodnej rachubie, nie daje się nigdy obliczyć w swych wstrząśnieniach i wybuchach. Bądź co bądź, Serbia przechodzi ciężką chwilę i wcale nie widzi dnia, w którym będzie mogła powiedzieć, że zakończyła epokę wewnętrznej wojny i weszła w okres wewnętrznego rozwoju. A tego ona głównie potrzebuje i o to dbać powinna.

ZŁOŻYĆ BROŃ!

I.

Tydzień nie mija, ażebyśmy nie napotkali na naczelnem miejscu wielkich dzienników europejskich projektu rozbrojenia. W Rosyi i we Francyi, w Niemczech albo we Włoszech w zwartym szeregu stają obok siebie przekonani i innych przekonywający przyjaciele pokoju i jego apostołowie. Wszędzie rozbrzmiewa ten sam akord ewangelicznej zgody i braterstwa politycznego: z wysokości tronu, z mównicy parlamentarnej, na biesiadzie ministra. Co kilka tygodni powstaje nowa broszura — niemiecka, francuska, angielska — albo rodzą się nowe czasopisma— włoskie, amerykańskie— poważni uczeni piszą i wydają coraz to nowe i coraz to grubsze książki.

Od czasu do czasu jednak w zgodnym chórze słyszeć się daje rozdźwięk, który wprawdzie zagłuszany bywa regularnie kaskadą następujących po nim tonów melodyi głównej, ale mimo to nie ginie. Często pochodzi on od osób takich, których protest dysonansowy rośnie pod wpływem opinii publicznej do rozmiarów potężnego zgrzytu oburzenia i wzgardy. Bo i przeciwników swoich ma idea politycznego spokoju, przeciwników poważnych, generałów zasłużonych na polu sławy, wielkich i uznanych patryotów. I tutaj tworzy się obfita literatura. Jeżeli przyjrzymy się niemieckiej i ograniczymy się tylko czasem kilku lat ostatnich, to napotkamy, nie licząc pisemek ulotnych, dwa poważne dzieła. Jedno należy do generała wojsk pruskich, v. Boguslawskiego (*Der Krieg in seiner wahren Bedeutung für Staat und Volk*), autorem drugiego jest zasłużony znawca spraw wojskowych i wojennych, Jähns (*Ueber Krieg, Frieden und Kultur*). I my posiadamy również obrońcę wojny w osobie niedawno zmarłego prof. Darguna (*O cywilizacyjnem znaczeniu wojny*, 1892). Nawet poetów liczy ta rzesza. Za największego obecnie śród włoskich uważany Carducci zaciągnął się pod sztandar panegirystów krwawego rzemiosła. Niedawno wydał on protest przeciwko kongresowi ligi pokoju, obradującemu w Rzymie, p. t. *La Guerra*, w którym opowiada, jak według podania starożytnego Prometeusz wlał w bryłę gliny siłę lwa i powstał człowiek, siejąc odrazu wojnę; jak pierwszy robotnik w świecie zabił brata, nie chcąc mieć towarzysza; jak prosta pałka, która stała się bronią w rękach człowieka, nadaje mu ostateczne zwycięztwo nad drapieżnem zwierzęciem pustyni. Człowiek natchniony krwawym promieniem słońca, przeistacza głaz w straszne narzędzia, przydatne do mordowania innych. Krew ludzka, zalewająca pola, była pierwszym użyźniającym nawozem, a żądza panowania nad innymi pcha naprzód człowieka, który rzuca na wodę wydrążony pień, a wojna przelatuje świat cały, jak rumak, uwolniony od cugli i wędzidła. Walczą między sobą religie, części świata. Straszny a wzniosły szał pędzi naprzód ludzi przez pustynie do oceanu, jednego przeciw drugiemu, wraz z bogami, z tajemnicami przyszłości i skarbami wszelkiej nauki.

Kwestya zdaje się być już wyczerpaną. Przyjrzano się jej, zbadano ze wszystkich stron, ekonomicznej i politycznej, naukowej, nawet estetycznej, zapisano spostrzeżenia tak skrupulatnie, że prawie ze zdziwieniem zauważylibyśmy w nowem dziele myśl albo przypisek, którychby nie było w poprzednich danego kierunku. W jednym i drugim wypadku jest to teorya bardzo blizko związana z ogólnym na świat poglądem uczonych, a więc sama w sobie organicznie skończona. Chcemy właśnie zaznajomić czytelników z tem wszystkiem, co w umyśle i sercu, w nauce, w życiu, w sztuce narodów europejskich wiąże się już dzisiaj z pragnieniem pokoju politycznego, co uczyniono już obecnie, czego żądają na przyszłość bliższą lub dalszą. Musimy więc przedewszystkiem w zarysach najogólniejszych przynajmniej zaznaczyć, czem jest właściwie wojna, dlaczego bronić jej mogą przyjaciele, jakie przytaczają argumenty.

W bardzo pięknej, przez Akademię francuską nagrodzonej pracy Revona (*L'arbitrage international*) znajdujemy na wstępie wyłożoną apologię wojny. Pozwolimy więc sobie oddać jej treść w krótkich słowach. Na pierwszy rzut oka wojna jest niedorzecznością. Gdyby ona istotnie była tylko walką sił fizycznych, interesów i namiętności, cóż jaśniejszego nad to, że świadomość ludzka zniosłaby ją oddawna? Jest więc czemś innem: światłem płynącem z góry, objawieniem strasznem a jednocześnie okazałem sprawiedliwości. Z przyczyn, które ją wywołują i z celu — jest świętą. „Wojna—mówi Józef de Maistre— jest boską sama przez się, bo stanowi prawo świata. Jest świętą w tajemniczej sławie, która ją otacza i w niezrozumiałym pociągu, jaki czujemy do niej. Jest świętą w szczęściu, jakie sprzyja zazwyczaj najwaleczniejszym i najodważniejszym wodzom. Jest świętą w swych rezultatach i skutkach, niedostępnych zupełnie rozumowaniu ludzkiemu.“ Religie i ich systemy zrozumiały dobrze tę tajemnicę wojny. Persowie oparli swoją teologię na wiekuistej walce Ormuzda i Ahrimana; Jehowa jest Panem Zastępów; Walhalla — to raj bohaterów. I Chrystus, Bóg miłości, „przynosi nie pokój, lecz wojnę“ (Mat. X, 34). Czyliż te mityczne ideje teologiczne nie znajdują oddźwięku w naturze samej, w walce żywiołów, w burzy, w wichrze, w błyskawicy? Jest tedy wojna zasadą ruchu ciągłego i nieustannego w naturze całej, pierwiastkiem ożywiającym, matką wszystkich zmian w świecie fizycznym. Najgłębsze dogmaty są jej pełne: dogmat grzechu pierworodnego, ofiary. Jest więc wojna prawdziwą, a będąc taką, jest piękną. Od najdawniejszych czasów bytu stanowi przedmiot zachwytu dla poetów i początek epopei. Nie masz narodu, któryby nie posiadał swej Iliady, będącej jego chlubą. Poeci, dziejopisowie, muzycy — wszyscy uszli szponów prozaizmu tylko pod wpływem wojowniczej ostrogi. Kiedy w „Pieśni nad pieśniami“ Oblubieniec chce chwalić przedmiot swego miłosnego upojenia, porównywa go z „armią gotową do walki.“ Tylko amerykanin nie rozumie wojny. „Umie on wprawdzie — sądzi Proudhon — zbierać zboże, fabrykować cukier, chować wołu, dwoić i troić majątek swój. Ale gdzież jego idea, jego poezya, jego religia?“ Jest wojna także głęboko moralną, stanowiąc zasady czynu i pracy dla jednostek i narodów. Pokój wiedzie za sobą bogactwa i dostatek; za dostatkiem ciągną rozkosze ciała, lenistwo, zniewieściałość, upadek charakteru. Zdawałoby się, że pod panowaniem pokoju zakwitną wszystkie cnoty obywateli: tymczasem panuje zepsucie; zdawałoby się, że powinien podnieść się poziom ducha: tymczasem jesteśmy świadkami upadku. Wojna tylko jest w stanie ofiarować im odwagę, cierpliwość, hart ciała i stałość charakteru. Z wojny rodzi się prawo, dziecię siły. Niema narodu, któryby powstał bez walki, niema demokracyi, któraby nie oparła swych rządów na zasadzie większości — oczywistem panowaniu silnych nad słabymi. Historya— twierdzi Hegel — to wiekuiste *Dies irae*; naród-zwycięzca jest zawsze lepszym; jego tryumf jest świadectwem jego prawa. Ludzkość zawsze dążyła do tej prawdy: zawsze ubóstwiała siłę, bo na czole okrwawionem a spokojnem tego bóstwa widziała aureolę prawa.

Humanus.

KROKI

przez

Hugona le Roux.

Był to dom na bulwarach zewnętrznych, tuż obok fortyfikacyj i gruntów niezabudowanych. Okna wychodziły na ogród, gdzie dwa posążki gipsowe powlekał coraz grubszą warstwą mech. Małe bzy poobłamywane sznurkami, na których mieszkańcy przez cały rok suszyli pończochy, brama wciąż otwierana z dzwonkiem nieustannie dźwięczącym i ruch żywy do domu i z domu, jak we wszystkich tych koszarach, gdzie żyje lud.

Lud w płaszczach wyszarzałych, biedota bez sprzętów w izbie, dumna ze swego pochodzenia mieszczańskiego, a skrycie zazdroszcząca robotnikowi, który w koszuli bez surduta usiadł w oberży i spożywa wesoło.

Nad moją izbą było ich dwóch, których kroki słyszałem przez sufit dźwięczny, jak skóra bębna. Nigdy ich nie spotkałem na korytarzu, gdzie wszyscy pozdrawiali się z ceremonią. Ale kobiecina, która rano przynosi mi dziennik i rogal, opowiodziała:

Był to ojciec, mający już około czterdziestki, i synek, chłopczyna ośmioletni. Matka? Może umarła, a może była z tych bez serca, co spotkawszy kochanka, idą za nim, opuszczając dom w niedoli.

Życie tych samotników było regularne, jak ruch pociągów na stacyi.

Co rano, o pół do siódmej, ciężki krok ojca rozlegał się nad moją głową — tu znajdowała się nisza. Ciężko, pod brzemieniem snu jeszcze przesuwał się on przez izbę ukośnie. Podążał ku łóżku dziecka, tam przez kilka chwil stawał. Dość mi było zamknąć powieki, aby widzieć tych dwóch na górze. Starszy siadał u nóg łóżeczka i leciuchno dotykał stóp dzieciny. Chłopczyk podnosił się, wyciągał się biedactwo, a potem zarzucał rączki na szyję tego, którego niedola uczyniła tak nieszczęśliwym, kojąc swą pieszczotą ból jego po opuszczeniu lub śmierci.

O siódmej obaj schodzili. Ojciec zamykał drzwi, chłopiec patrzył zapewne na niego roztropnemi oczkami. Nie był z tych, co ześlizgują się po poręczy lub hasają przez cztery schody na raz. Słyszałem jego drobny krok, jak gdyby owinięty w ciężkie stąpania ojca. Schodzili zapewne trzymając się za dłonie i kroczyli tak aż do szkoły; potem rodzic podążał do biura, gdzie przez cały dzień, duszą goszcząc przy dziecku albo wędrując wśród wspomnień, zarabiał na życie, prawo do chleba i prawo do dachu. Ale pracować słodko, kiedy pracuje się dla dwojga, kiedy się wie, że po pracy ramię pod ramię pójdziesz z kimś drogim.

Wracali późno, zawsze jak przyjaciele, krok drobny ukryty w kroku dużym, a kiedy klucz zaskrzypiał we drzwiach, wiedziałem, iż tam zapala się lampa i ojciec przygotowywa na kuchence wieczerzę. Obaj byli zmęczeni, a jednak kroki ich teraz wydawały się lżejsze, bardziej towarzyskie. Zarobiły one na spoczynek, krzyżowały się w izbie wesoło, wypełniały zakątki i z rozgwarem rozmowy wpadały do mnie przez szczeliny sufitu.

Pewnego ranka klucz nie zgrzytnął w zamku, małe nóżki nie wyskoczyły z łóżeczka. Ciężki krok zatrzymał się u wezgłowia z trwogą. Naraz stoczył się po pięciu piętrach, niepewny, jak krok konia, który szedł zawsze w parze, a teraz towarzysza wyprzężono.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Francya ma przesilenie gabinetowe. Dep. Millerand ze skrajnej lewicy zaproponował naganną dla rządu formułę przy przejściu do porządku dziennego. Izba wprawdzie jej nie przyjęła, ale odrzuciła również żądaną przez prezesa ministeryum, który po tym dowodzie nieufności wyszedł wraz z towarzyszami z sali i wręczył dymisyę prezydentowi Rzeczpospolitej. Czy ta chmura skończy się małym lub dużym deszczem, do chwili pisania tych słów nie wiemy.

Sprawca zamachu dynamitowego w kawiarni, Henry, został stracony. Rząd przygotował nadzwyczajne środki przeciw możliwej napaści ze strony anarchistów, wykonanie jednak wyroku odbyło się spokojnie. Aresztowano tylko trzy hałasujące indywidua.

W Hiszpanii również stracono czterech anarchistów.

Parlament węgierski — jak należało się spodziewać — przyjął ponownie (271 głosami przeciw 105) ustawę o ślubach cywilnych, która poszła po raz drugi do Izby magnatów. Przy tej sposobności posłowie radykalniejsi wystąpili z wnioskiem reformy tego przyrządu do hamowania, ale nie zyskali poparcia. Większość sejmu nie chce jeszcze drażnić swych lordów, dopóki oni powtórnie nie wypowiedzą swego zdania o ślubach cywilnych, które może wypaść całkiem odmiennie od poprzedniego po zamianowaniu nowych członków. W tym interesie Wekerle wyjechał do Wiednia.

Przeróbka urządzeń i organów państwowych według dawnej konstytucyi w Serbii postępuje gorączkowo. Podobno wyśledzono obecnie, że pretendent do tronu, Piotr Karageorgiewicz, bawił kryjomo zeszłego roku w Belgradzie i porozumiewał się ze swymi stronnikami. Prasa rozpowszechniła wieść, że radykałowie w ostatniej chwili próbowali pogodzić się z królem, ten wszakże nie przyjął ich deputacyi. Pierwsze doniesienia z Belgradu zapewniały o powszechnym zachwycie ludności ze zmiany, ostatnie — o powszechnej niechęci.

Wkrótce już ma być stoczona walna bitwa w parlamencie włoskim o projekty finansowe ministra Sonina. Opozycya zapowiada zaciętą walkę i stara się pomnożyć swoje szeregi; stronnicy rządu zaś ostrzegają przed skutkami odrzucenia tych projektów, które sprowadziłoby straszliwy zamęt w stosunkach ekonomicznych.

Sejm pruski uchwalił zaprowadzenie izb rolniczych, o ile tego wyraźnie zażąda każda z prowincyj. Ten ostatni warunek ma być główną wadą ustawy, do której rząd chciał wprowadzić zamiast swobodnego uznania — obowiązek.

Niebywały spadek cen zboża (którego poziom u nas od 25 lat nie był tak nizki) spotęgował krzyki ziemian niemieckich i jakoby wzruszył cesarza, który skłonił ku nim swe ucho i zamierza w jesieni coś dla nich zrobić.

BADANIA NAUKOWE.

POCZĄTEK RODZINY
W ŚWIETLE POGLĄDÓW BIOLOGICZNYCH.

Najtrudniej jest wyjaśnić pytania, które znajdują się, że tak powiemy, na pograniczu dwu lub kilku różnych umiejętności. Do takich należy właśnie kwestya początku rodziny, bo jako dotycząca czasów przedhistorycznych i ściśle związana ze stosunkami rozmnażania się u zwierząt wyższych — jest ona pytaniem czysto biologicznem, a natomiast jako związana z kształtowaniem się rodziny w dalszym rozwoju rodu ludzkiego oraz z różnemi późniejszemi urządzeniami społecznemi — jest kwestyą socyologiczną.

Zagadka pierwotnych dziejów rodziny była szeroko traktowana w ostatnich czasach przez cały szereg pisarzów, jak: Bachofen, Morgan, Mac Lenan, Lubbock, Bastian, Giraud-Teulon, Engels, Lippert, Westermarck (*Geschichte der menschlichen Ehe*, deutsch von Katzer und Grazer, 1893) i wielu innych.

Najszczegółowiej rozwinął teoryę pochodzenia rodziny Morgan, a przynajmniej odróżnił najwięcej poszczególnych etapów, przez jakie, jego zdaniem, przechodziły stosunki rozmnażania się u ludzi, zanim doszły do stanu rodziny monogamicznej, opartej na prawie ojcowskiem. Pierwotne jej dzieje były według badacza amerykańskiego pokrótce następujące:

W najodleglejszych czasach rodu ludzkiego istniały najzupełniej nieuregulowane stosunki pomiędzy płciami, co Morgan nazywa „promiscuitas.“ Później rozwinęły się inne formy, a mianowicie w następującym kolejnym porządku: t. zw. rodzina pokrewieństw, rodzina Punalua, prawo macierzyńskie, współżycie parami, wreszcie — dzisiejsza rodzina monogamiczna z prawem ojcowskiem.

Cała ta teorya oparta jest prawie wyłącznie na faktach etnologicznych; u różnych ludów, zajmujących obecnie bardzo nizki szczebel kultury, napotykamy rozmaite stosunki rodzinne, a raczej różne postacie wzajemnego pożycia płci. Otóż stosunki te możemy uważać za etapy, przez które przechodziła w swym rozwoju rodowym obecna forma rodziny u ludów ucywilizowanych. Takiej metody trzymał się też Morgan, zapożyczywszy ją od biologii, a w szczególności od morfologii, gdzie ją oddawna stosowano.

Zoolog, pragnący nakreślić filogenię, tj. rodowód pewnej grupy zwierząt, bierze pod uwagę anatomię porównawczą różnych pokrewnych, niższych form obecnie żyjących i zestawiając z sobą te dane, dochodzi do wniosku co do prawdopodobnych dziejów rodowych danej grupy, głównie atoli zwraca w tych poszukiwaniach uwagę na postacie przejściowe, które nieznacznie i stopniowo zbaczają od jednego typu a przechodzą w drugi. Postępowanie to nie jest tak łatwe, jak się pozornie wydaje, przedewszystkiem bowiem trudno jest bardzo określić, co stanowi wyraz rzeczywistego pokrewieństwa, a co jest zboczeniem od typu pierwotnego, słowem, co jest, jak mówimy, „pierwotnem,“ a co „wtórnie nabytem,“ czyli uwarunkowanem przez przystosowanie się do pewnych specyalnych okoliczności zewnętrznych. Tak np. w gromadzie zwierząt ssących jednootworowe (Monotremata) przedstawiają postacie najniższe; pod względem budowy szkieletu, narzędzi rozrodczych, mózgu itd. zbliżone są one bardzo do gadów; nawet i jaja ich podobne są do gadzich (opatrzone miękką błoną) i zostają składane na zewnątrz (do specyalnej torby podbrzusznej), a nie rozwijają się w łonie matki, jak u innych ssących. Wszystkie wymienione cechy dowodzą najwymowniej, że jednootworowe (dziobak, kolczatka) są najniższymi ssakami, znamiona ich bowiem odpowiadają cechom niższych kręgowców. Ale zwierzęta te nie posiadają zębów, a braku tego nie możemy uważać za cechę pierwotnie prostą, uwarunkowaną przez pokrewieństwo jednootworowców z gadami, lecz za wtórnie nabytą, za rozwiniętą

Gdy przybył dziennik z rogalem, pytałem kobiety:

— Co tam u sąsiadów?

— Mały ciężko chory na gardło. Ojciec kazał donieść do biura, że dziś nie przyjdzie. Posłał po lekarza.

Czekałem nań wraz z ojcem, jak długo, jak długo!

Na gardło dziecko chore — to nie dobrze. Podobno zawsze wówczas „bozia woła.“ Daremnie walczyć, owijać je ramionami, wydzierać z rąk, które za nie chwytają. Wyślizguje się z objęcia, wyślizguje się jak woda z dłoni i kropla po kropli życie upływa.

Jak nieznużenie kroczyły po Izbie te kroki! Przez tydzień, dniem i nocą. Od łóżka do kuchni, od kuchni do stołu, wciąż wracając do łóżka. Okrążały pościel, drżały, ciężyły ze zmęczenia, drobiły się, nie wiedziały, kędy dążyć.

Straciłem przez nie sen i uciekłem ze swej izby, w której zawsze był widny zachód słońca, do wioski Chaville.

Po dwóch dniach wróciłem, leżałem w łóżku, choć już było późno, gdy nagle nad głowami rozległ się stuk.

Izdebkę z wyższego piętra zalały ciężkie kroki, a schody raz po raz tętniły.

— Wyprowadzają się—myślałem.—Może on także wyjeżdża z dzieckiem na wieś. Dokądże udaje się?

I otworzyłem firanki.

Niestety, przed bramą stał czarny wóz.

Zniosłem bez ze wsi, dość go było, aby nakryć białą trumienkę. I białe konie ruszyły na cmentarz, a ja cały dzień pochylony nad pracą wyglądałem powrotu ojca. Zdawało mi się, że powinienem wyczekiwać go. Kiedy złamany wejdzie na schody, otworzę naraz drzwi, namówię, aby wszedł koniecznie, obejmę go i powiem:

— Słuchajcie, nietylko wy będziecie je wspominali. I ja pomiętam małe kroki, stąpające przy was.

Skończył się dzień i wieczór. Nie wrócił.

Często odtąd pytałem, gdzie ów ojciec spędził swą pierwszą noc samotną. Kościoły zamykają się na noc i cmentarze z grobami świeżymi.

Wrócił, pojutrze dopiero, kiedy spałem. Bo rano, zbudziwszy się, posłyszałem, jak schodził z łóżka. O zwykłej godzinie ubierał się nagłymi ruchami, nogi obie odrazu uderzyły w podłogę. I widziałem wtedy jego oczy, wejrzenie, jakie rzucił, wychodząc, na próżne łóżko.

Nie mówcie, że potrzeba frazesów, wzruszających słów, aby przedstawić cierpienie serca. Kroki, nic tylko kroki, człowieka, który codzień schodził po stopniach wraz z dzieckiem, a teraz idzie sam, wystarczą.

Przychodził i wychodził, jak poprzednio. Tylko wychodził później, bo nie miał nikogo odprowadzać do szkoły, nie potrzebował zboczeń robić po drodze. I wracał nieregularnie, ledwie wlokąc nogi. Rzekłbyś, że ołów przylepił się do jego podeszew. Zakręcał klucz w zamku zwolna, jak człowiek, który nie ma po co śpieszyć się, bo nic nie znajdzie za drzwiami. Całym ciężarem opadał na krzesło, a że zasypiał na niem twardym snem, nie słyszałem odgłosów przez dźwięczny sufit.

To milczenie wypędziło mię z izby, gdzie miałem bzy i słonko wschodzące nad miastem. Gdyby był jęczał, nabrałbym odwagi, podszedł ku niemu, uścisnął dłoń. Ale ból niemy przygniatał mię. A kroki wtłaczały się w serce, kroki, nie zdążające przez izbę, ciężko, ociężale, ku drugiemu łóżku.

Tłom. *W. Bugiel.*

w związku z pewnemi innemi właściwościami budowy i przedstawiającą specyalne przystosowanie do warunków bytu (w tym razie do sposobu odżywiania się).

Biolog nie zadawala się atoli porównywaniem ostatecznych stanów u różnych grup pierwotniejszych, lecz bierze jeszcze w pomoc historyę rozwoju, tj. porównywa kolejne stadya rozwoju osobnikowego danej grupy ze stadyami rozwojowemi oraz ze stanami ostatecznymi u gromad coraz niższych, a dzięki faktowi, iż w rozwoju indywidualnym powtarzają się w mniejszym lub większym stopniu etapy rodowego, wysnuwa ostatecznie wnioski filogenetyczne.

W socyologii atoli ta druga metoda jest niemożliwa, nie mamy bowiem sposobności badania urządzeń społecznych *in statu nascendi*, a jedynie tylko porównywać możemy stany ostateczne u różnych skrystalizowanych w danej chwili społeczeństw, pozostających na różnych szczeblach. Sposób grupowania faktów, zdobywanych tą drogą, jest w socyologii po większej części dowolny i zależy od stanowiska danego autora. Dla biologa stanowisko to nie jest dowolnem, dla zwolennika teoryi descedencyi zgóry wydaje się prawdopodobnem, że stosunki życia rodzinnego w najprostszej swej postaci musiały być takie, jakie dziś napotykamy u najwyższych zwierząt ssących, te zaś modyfikacye, jakie istnieją u niektórych ludów dzikich, nie są pierwotnemi, lecz wtórnie nabytemi — fakt przez socyologów niedostatecznie lub wcale nieuwzględniany. Wychodząc z tego stanowiska, dojdziemy do wniosku, że teorya Morgana rodowodu rodziny nie wytrzymuje krytyki, jak to stara się wykazać prof. Ziegler w interesującem swem dziełku p. t. *Die Naturwissenschaft und die socialdemokratische Theorie* (1894). Z nowszych badaczów Westermarck w wyżej przytoczonej pracy swojej surowo krytykuje hipotezę „promiscuitatis“ Morgana. Oto jak wyraża się ten autor:

„Według poglądu większości socyologów, którzy pisali o dziejach pierwotnych, człowiek żył początkowo w rozwiązłości płciowej. Jest to zdanie Bachofena, Morgana, Mac Lenana... i wielu innych. Chociaż pierwotnie wypowiadano ten pogląd tylko jako prawdopodobną hipotezę, obecnie liczni pisarze uważają to twierdzenie za dowiedzioną prawdę.

„Gdy większość antropologów, piszących o obyczajach przeddziejowych, faktycznie twierdzi, że człowiek żył pierwotnie w t. zw. „communal marriage“ (promiscuitas — zmieszanie), to moje badania doprowadzają mię do wniosku, że hipoteza ta jest najzupełniej nienaukowa. Dowody, przytoczone na jej korzyść, po części składają się z wiadomości o ludach dzikich, u których praktykuje się jakoby rozwiązłość płciowa, po części zaś opierają się na pewnych obyczajach, uważanych jako szczątki z czasów, w których nie istniało jeszcze małżeństwo. Wiadomości o ludach, u których jakoby istnieje promiscuitas, po części okazały się błędnemi, po części zaś słuszność ich została bardzo zakwestyonowana. Ale nawet gdyby niektóre z nich okazały się prawdziwemi, to błędnem byłoby twierdzenie, iż te najzupełniej wyjątkowe wypadki oznaczają stadyum rozwojowe, przez które przechodziła cała ludzkość; bynajmniej nie są to ludy najniższe, u których stosunki płci zbliżone są do stanu, oznaczonego nazwą: promiscuitas.“

„Poddawszy krytyce — mówi dalej tenże autor — wszystkie grupy zjawisk społecznych, przytaczane jako dowody na korzyść teoryi promiscuitatis, znaleźliśmy, że w rzeczywistości nie stanowią one żadnych dowodów; żaden zwyczaj lub obyczaj, uważany za szczątek dawnego stanu nieregularnych stosunków płci, czyli „communal marriage,“ nie zniewala nas do przyjęcia takiego stanu.“

Darwin utrzymuje, że stosunki płciowe u ludzi najpierwotniejszych musiały być podobne do tych, jakie znajdujemy obecnie u najniższych ssaków, tj. u czwororękich; co do tego punktu, biolog angielski wyraża się w sposób następujący:

„Pomiędzy istniejącemi obecnie czwororękiemi, o ile znamy obyczaje ich życia, samce niektórych gatunków żyją z samicami monogamicznie, lecz tylko w ciągu pewnej pory roku; niektóre gatunki (pewne indyjskie i amerykańskie czwororękie) są monogamiczne w ściślejszem znaczeniu, samce żyją u nich ze swemi samicami w ciągu całego roku; inne gatunki (np. goryl) są poligamiczne, a każda rodzina żyje osobno dla siebie; ale nawet i w tym wypadku rodziny zamieszkujące ten sam okrąg tworzą prawdopodobnie niekiedy wspólne towarzystwo... jeszcze inne gatunki (np. niektóre pawiany) są także poligamiczne, lecz po kilku samców, każdy ze swemi własnemi samicami, łączy się w jedno stado. Dlatego też najprawdopodobniejszym jest pogląd, iż i człowiek żył pierwotnie w małych towarzystwach, każdy mężczyzna ze swoją kobietą lub też, jeśli miał dosyć przemocy, z kilku kobietami, których z zazdrością bronił przed wszystkimi innymi mężczyznami; albo też, być może, że nie był początkowo istotą towarzyską i żył sam dla siebie z kilku kobietami.“

„Z powyższego ustępu najwymowniej widzimy — powiada Ziegler — że według Darwina już w najpierwotniejszych dziejach rodu ludzkiego istniało współżycie monogamicznych lub poligamicznych rodzin, Darwin nie był zatem zwolennikiem teoryi „promiscuitatis.“ Pogląd tego zoologa, najzupełniej zarzucony przez starszych etnografów szkoły Morgana, odzyskał obecnie swe znaczenie u młodszych, a zwłaszcza Westermarcka, który w przytoczonem wyżej dziele powiada: „Najprawdopodobniej monogamia panowała prawie wyłącznie u najstarszych naszych przodków rodu ludzkiego, ponieważ to samo ma miejsce u podobnych do człowieka (antropomorfnych) czwororęki..“

Znakomity anatom, prof. Rauber, w dziele swojem p. t. *Urgeschichte des Menschen* (Lipsk 1884), wyraża się w tym samym duchu: „Byłoby to odwróceniem naturalnego porządku rzeczy — mówi on — i zapoznaniem całego planu zróżnicowania płciowego, gdybyśmy zechcieli przypuszczać, iż w całem państwie istot żyjących jedynie kobieta przeznaczona była do tego, aby przez lat tysiące być nietylko niewolnicą, ale i heterą. Owe obyczaje heteryczne nie są zjawiskami normalnemi, lecz patologicznemi. Występują one u dzisiejszych ludów pierwotnych, zwłaszcza na granicy obszarów, stykających się z kulturnymi, które wywierają wpływ szkodliwy; ale zresztą wszystkie wogóle ludy natury oraz narody cywilizowane łatwo bardzo podlegają zwyrodnieniom w stosunkach płciowych... Jedynie normalnym stosunkiem pomiędzy mężczyzną i kobietą jest jednożeństwo.“

U ludów dzikich znajdujemy liczne inne zwyrodnienia obyczajów, jak np. wybijanie pewnych zębów, spłaszczanie głowy, tatuowanie itp., których to zjawisk nie możemy uważać za pierwotne zwyczaje najwcześniejszych przodków rodzaju ludzkiego, lecz za właściwości wtórnie nabyte, za zwyrodnienia pierwotnych, bardziej naturalnych. Kształtująca się w rozwoju umysłowość człowieka przeddziejowego prowadziła go nietylko do dobrego i pożytecznego, ale i do wielu niedorzeczności, zabobonów, głupstw, do zwyrodniałych obyczajów społecznych, które oddalały go od pierwotnego naturalniejszego stanu, a dziś niektórzy etnologowie, nieuwzględniający wielkiego prawa ciągłości ewolucyi biologicznej, upatrują w tych wtórnie nabytych, cenogenetycznych, jakby się wyraził zoolog, znamionach, pierwotne, tj. poligenetyczne właściwości najodleglejszych ludzkich naszych przodków.

Tak więc zdaje się nie ulegać wątpliwości, że teorya Morgana, jakoby „promiscuitas“ była najpierwotniejszą postacią pożycia płciowego u człowieka, jest chybiona. (D. n.).

H. T. R.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Berlin, 1 maja.

Wiec imienia Shakespeare'a. — Teatr Shakespeare'owski w Niemczech. — Prof. Loening i jego „Hamlet.“ — Pobożne życzenia.

W końcu zeszłego miesiąca odbył się w Weimarze doroczny wiec „Towarzystwa niemieckiego imienia Shakespeare'a.“ Sprawozdanie prezydenta, dr. Oechelhäusera, głosi, że liczba członków wynosi 200 i ceni majątek związku (głównie biblioteka) na 19,000 marek. Śród ludu, w literaturze i na scenie nietylko że nie przestano zajmować się teatrem Shakespeare'a, ale przeciwnie może zajęcie to zyskało na sile i wzmaga się coraz bardziej. Wszak wiadomo, jak i ile razy zmieniały się w ubiegłych epokach sympatye względem „łabędzia z Avonu“ i jak szły całemi gamami tonów od wzgardy aż do apoteozy. Pierwszym dziesięcioleciom naszego wieku Shakespeare nadał jedną z cech charakterystycznych. „Romantyzmu“ bez niego nie rozumiemy wcale, a pole twórczości największych z przedstawicieli owej epoki, której ideałami żyje i dzisiaj jeszcze świat cywilizowany, przecina wpływ „starego Wila“ (tak nazywano go u nas) niekiedy mniej lub więcej równą miedzą graniczną, niekiedy łamaną linią błyskawicy. Kiedy jednak na wszystkich obszarach czynu i myśli po czasach silnego napięcia muskułów i nerwów następuje chwila reakcyi, więc po upojeniu romantyków nastąpił peryod odwrotu. Wprawdzie próbowano wtedy detronizować Shakespeare'a — a studya prawnika Rümelina nad nim były wyrazem takich zamiarów — ale umiała opinia trzymać swą niechęć na wodzy rozsądku i wielki dramaturg pozostał stałym czynnikiem w literaturze pięknej, przedewszystkiem zaś niemieckiej.

Trzeba bowiem przyznać, że jakkolwiek nie był rodzonym synem ojczyzny ściśle niemieckiej, jednakże został przyjęty na jej łono z taką miłością, jakiej nigdy, dzisiaj nawet, nie zaznaje w swoim domu. Niemcy wciąż jeszcze piszą o Shakespearze, odnajdują nowe w nim rzeczy, inaczej rozumieją jego nieśmiertelne typy; przerzucając bibliografię, raz po raz błyśnie ci przed oczyma *Hamlet* albo *Otello*, sonety albo wieczny spór o właściwe nazwisko autora tych arcydzieł. I to wtedy nawet, kiedy miesięczniki i dzisiaj nawet karmią swych czytelników Shakespeare'm i co ważniejsza, kiedy Towarzystwo jego imienia wydaje *trzydziesty* już dzisiaj tom *Shakespeare-Jahrbuch*'u. Dosyć powiedzieć, że w roku ubiegłym prof. Loening wydał ogromną, przeszło 400 stronic liczącą monografię o *Hamlecie*.

Tyle w literaturze. I w teatrze grają dzisiaj utwory Shakespeare'a, jak gdzieindziej scena zamienia się regularnie na kurnik — zazwyczaj gallijski — z kogutem i kilku kurami, albo jedną kurą i dwoma bohaterami w grzywie i ostrogach. Dowiadujemy się ze sprawozdania, że w roku zeszłym grano na 148 scenach nie-

mieckich *850* razy Shakespeare'a. Kiedy się przegląda tygodniowe repertuary tutejszych teatrów, spotkać zawsze można jeden z głównych jego dramatów, niekiedy kilka jednocześnie. Już i publiczność (owa publiczność z krzeseł i pierwszego piętra) ceni umie i szanować, a niekiedy rozumieć nietylko poezyę boksujących się klownów cyrkowych, ale i wielkie pragnienia, niezniszczone nadzieje, wieczne bóle serca i myśli ludzkich. Potrafiono ją odpowiednio wychować.

Zaznaczyłem wyżej nazwisko Ryszarda Loeninga. Jest to z zawodu prawnik, profesor w Jenie, umysł jasny i otwarty, któremu nauka prawa karnego zawdzięcza kilka poważniejszych prac, ale umysł oczywiście, któremu zajęcia zawodowe nie wypełniają całego pola widzenia, nie czynią zadosyć wszystkim potrzebom ducha. Już przed laty dziesięciu w polemice z Kohlerem — również prawnikiem i również Shakespeare'nistą — dał się poznać jako znawca tej literatury. Obecnie wydał dzieło: *Die Hamlet — Tragedie Skakspeare's*, o którem nie mieliśmy dotychczas sposobności pomówić, a na ostatnim wiecu Towarzystwa wygłosił mowę uroczystą o fizyologicznych podstawach psychologii Shakespeareo'owskiej. Owo dzieło jest pracą zupełnie niemiecką i zupełnie profesorską — tak naszpikowaną cytatami, tak opartą na tem, co powiedziano kiedykolwiek i gdziebądź. Bibliografia, rozumie się, najpełniejsza, i pomimo że autor „występuje z nowym poglądem na istotę i charakter Hamleta," trzyma nas tak długo w atmosferze dawnych poglądów, które uśmierca i chowa, aż wreszcie, gdy zapoznajemy się z jego własnym, nie możemy już pozbyć się czucia cmentarza i trupiarni i bez wiary odkładamy „jeszcze jedną ostatnią" dyagnozę hamletowego cierpienia — bez wiary oczywiście w jej prawdziwość. Mimo to książka odsłania czytelnikowi w części swej historycznej jeden ciekawy obraz. Czego bowiem nie rozumiano w perspektywie dziejowej, nie domyślano się, nie podpowiadano naturze Hamleta? Jakich wzorów, zawsze własnych, zawsze podmiotowych nie podkładano pod przejrzystą, koronkową tkaninę charakteru i postępowania królewicza tragicznego? Przytoczymy kilka tylko kopij z jednego szeregu zapatrywań, który może być uważany jako typowy. Börne pierwszy w Niemczech nadał Hamletowi piętno natury politycznej. Uważał go za naczynie wszystkich braków i wad, jakie posiadał ówczesny „deutscher Michel"; z jego istotą łączył i wiązał wszystkie własne pożądania i nadzieje. „Gdyby niemiec był tworzył Hamleta, nie potrzebowałby wiele pracować; powinien był tylko dobrze i czytelnie umieć pisać; przepisałby wtedy własną swą naturę na papier — i Hamlet gotów." Freiligrath w późniejszym czasie wydał wiersz, który zatytułował: „Deutschland ist Hamlet" (1844). Angielski wydawca Shakespeare'a, Furney, poświęcił kilka tomów cennej swej pracy Towarzystwu imienia Shakespeare'a, „jako przedstawicielowi narodu, którego ostatnie stronice historyi wykazały raz na zawsze, że Niemcy *nie* są Hamletem." W r. 1871 Hermann v. Fallersleben w wierszu do Moltkego śpiewał mu hymn pochwalny za to, że zrzucił z nich skórę Hamleta (enthamletisirt). Aż do naszych nawet czasów dochodzą ostatnie koła, które w umysłach krytyków literackich zatacza fala subjektywnych mniemań i domniemań. Weźmy dla przykładu jeszcze jeden wypadek. Było to w dobie, kiedy wszechwładnie panował heglizm. Oczywiście, że i w Hamlecie odkryto rysy, które pozwoliły na tym żywym przykładzie raz jeszcze stwierdzić prawdziwość filozoficznych postulatów. Uczynił to jeden ze znakomitszych uczniów Hegla, prawnik berliński, Edw. Gans. „Hamlet— czytamy u niego w szkicu, którego terminologii „heglowskiej" przekładać wcale się nie kusimy — to tragedya rozsądku, niezdolnego do refleksyi. Tragizm atoli rozsądku polega na tem, że gdy ten ostatni zdaje się być prawdą, jest nieprawdą, że nietylko nie jest sam istotnym, ale i nie pozwala na istotę rzeczy; jest natomiast tylko niszczącą potęgą, pod której ciosami świat zginąłby, gdyby nie rozum, który właśnie umiał opanować tę ujemną, przeczącą siłę, ujarzmić ją i uczynić przewodnikiem prawdziwego postępu. Hamlet jest obok Fausta najgłębszą i najśmielszą tragedyą, jaka kiedykolwiek napisaną została — dlatego, że jej bohater ginie nie wskutek cech, które przyjęto nazywać ułomnością ludzką, ale wskutek tych właśnie cech, które stanowią siłę ludzką; tylko że w ciągu rozwoju tragicznego charakteru dyalektyka wydarzeń wykazuje, że tu właśnie siła jest bezsiłą, wadą i brakiem." Powtarza się tutaj to samo, co zauważyć można przy rozpatrywaniu dawnych systemów metafizycznych albo starej psychologii. I tutaj zawsze pojęcie „duszy" albo „świata" itd. było sumą tych wszystkich cech i stosunków, jakie w nie wkłada „dusza" filozofa.

Należy nam jednak w kilku przynajmniej słowach wspomnieć o własnym poglądzie Loeninga na charakter i naturę Hamleta. Opiera go autor na podstawie tych wszystkich znamion, które wypływają z temperamentu bohatera-melancholika. Nazwano go w krytyce niemieckiej „bohaterem myśli," „księciem filozofii spekulacyjnej" — według autora najniesłuszniej. „Er ist gedankenvoll, aber kein Denker," w tem zdaniu streszcza Loenning swoje uwagi. Myśl Hamleta nie krąży nigdy w świecie abstrakcyi, ale przeciwnie obraca się w kole wypadków realnych; nie rozważa nigdy ostatnich kwestyj bytu i niebytu, ale staje na ich progu, jak zwykły człowiek. Rozumowanie jego nie jest konsekwentnem, metodycznem, zatrzymującem się dopóty przy pewnych pytaniach, dopóki nie dojdzie ich podstaw i przyczyn, ale przeskakuje z jednego na inne, co przy łatwo wzruszającej się fantazyi nie przychodzi z trudnością. Jest to umysł zupełnie aforystyczny." Staje przed nami jako bogato uzdolniony, szlachetnie usposobiony człowiek, który zresztą całkowicie spoczywa w więzach własnej natury, własnych namiętności i pożądań. Jest prawdziwie „szlachetnym" ale „piękną, czystą, wysoce moralną istotą," za jaką go miał Goethe, gdyż nie jest zupełnie pozbawiony siły moralnej, potęgi woli, która potrafi opanować instynkty ludzkie. Albowiem, jak mówi Shakespeare: „Krew jego bierze górę nad sądem jego." Tyle o samej charakterystyce. Tragedyę pojmuje autor jako prawdziwą i typową „Schicksalstragedie," uosabiającą „wielką prawdę o żelaznej, koniecznej walce rozumu z instynktem i naturą własną"—walce, której przyświeca ideał panowania nad samym sobą, wytwarzania sobie charakteru itd." Jest to wielki morał dziejowy, który autor chce wyprowadzić z dramatu. „Selbstbeherrschung, Selbstbeschränkung, Selbstüberwindung" — oto jak nazywa się ta zresztą nie nowa i nie niemiecka recepta na szczęście doczesne. Ale słyszeć te wyrazy w tym czasie, kiedy swoje *Totenmessy* pisze Przybyszewski, brzmi nieco dziwnie, jeśli nie komicznie. „Komicznie" zapewne nie ze względu na prof. Loeninga, ale ze względu na ciężkie szamotanie się w sferę niedosięgłych i niegodnych wcale serca poety wzruszeń estetycznych.

Zen. Por.

LITERATURA ANGIELSKA.

Andrew Lang: *Essays in Little*. Londyn, 1893 (Henry and C-o). — Wyznania pani Jane Clermont.

(Dokończenie).

Stosunki Byrona i Shelleya z panią Jane Clermont dotychczas były otoczone grubą tajemnicą. Dopiero obecnie William Graham poczęści stara się rozsiać te mroki, ogłosiwszy swe rozmowy *) z kobietą, która niegdyś odegrała dość znaczną rolę w życiu obu poetów. Pani Clermont była córką pierwszej żony slynnego w filozofii i etyce Godwina. Urodziła się w r. 1798; mając lat siedemnaście była już kochanką Byrona, powiła mu nawet córeczkę, Allegrę, która wkrótce umarła. Związek ten trwał wszakże niedługo, po licznych kłótniach nastąpiło rozstanie, i Jane Clermont zamieszkała w towarzystwie Shelleya i kochanki jego Maryi Godwin. Musiała jednak i ten dom, na żądanie Maryi, opuścić. W końcu wiadomo jeszcze, iż Shelley w testamencie swym zapisał pani Clermont 12 tysięcy f. st. Czy była kokietką, która po kolei starała się uwieść Byrona i Shelleya — jak niektórzy sądzą — czy też ofiarą Byrona, szczerze zakochaną w Shelleyu — jak ona sama twierdzi — to dotychczas wyjaśnione nie zostało. Wyznania, które uczyniła Grahamowi, mało na tę kwestyę światła rzucają, gdyż są stronnicze i interesowne: w pół wieku po śmierci obu poetów nie przestała pałać ku jednemu miłością, ku drugiemu nienawiścią. Posłuchajmy jej wszakże.

„W roku 1815 miałam lat siedemnaście, a Byron był bogiem dnia. Nie sądzę, aby ktokolwiek miał kiedy sławę tak głośną i natarczywą. Cały Londyn mówił tylko o nim, mówiono o nim więcej, niż o Wellingtonie. Młodzi ludzie naśladowali jego ruchy i ubiory, dziewczęta płakały nad jego portretem. Miałam głowę pełną marzeń i szalonych ambicyj, a otoczenie, w którem żyłam, nie mogło mnie uczynić rozumniejszą. Godwin i jego córka Marya Shelley, który spędzał dni całe u nas, wszyscy oni hodowali we mnie chimery najbardziej romantyczne. A gdy Byron objął kierownictwo teatru Drury Lane, postanowiłam udać się do niego z prośbą o rolę w jednej ze sztuk. Sądzę, iż Shelley pierwszy mi to poradził: szalał wówczas za Byronem i zawsze go zresztą podziwiał. Widziałam Byrona; resztę pan wiesz... Byłam młoda, biedna, lekkomyślna. On był więcej, niż człowiekiem; przyzwyczajono mnie spoglądać nań, jak na boga. Jego piękno było wszechmocne. Zresztą wiesz pan, iż w naszym domu spoglądano na małżeństwo, jak na zdrożne resztki barbarzyństwa. Wkrótce potem szczęście Byrona się zmieniło; cały Londyn odwrócił się od niego; w ciągu kilku miesięcy pozostawał w odosobnieniu, nie widząc nikogo, oprócz mnie, gdyż ja jedna pozostałam mu wierną." Jeżeli mamy ufać twierdzeniom pani Clermont, to ona miała pośredniczyć w zawarciu znajomości pomiędzy Byronem a Shelleyem. W kwietniu r. 1816 zaprowadziła swego kochanka do Marlow, gdzie mieszkał drugi poeta z Maryą. Shelley był zachwycony widokiem wielkiego pisarza, który umyślnie przyszedł z Londynu dla niego. Rozmowa toczyła się bardzo żywo, przeskakując z rzeczy błahych na kwestye filozoficzne. Między innemi, Shelley był oburzony kontrastem pomiędzy pięknem natury i zwyrodnieniem chłopów angielskich. „Wyobraźcie sobie — mówił — te same krajobrazy, ale zasiedlone przez istoty zdolne ocenić ich piękno; wystarczałoby w tym celu zniszczyć kilka tyranicznych

*) *Ninenteenth Century*, 1894.

zwyczajów i kilka nizkich przesądów." „Ba — odpowiedział Byron — wasze wiersze, mój kochany panie Shelley, są czarujące, lecz wasze idee są chimeryczne. Możesz pan uważać ludzkość, jak ci się żywnie podoba, ale nie przeszkodzisz pan, aby została na zawsze smutną mieszaniną łotrów i głupców. Człowiek jest istotą niższą od tygrysa i małpy. Jest to jedyne zwierzę, zabijające bez potrzeby, przez zwykłą zwierzęcość."

Był wówczas w Marlow oddział więźniów francuskich, z pod Waterloo. Byron, Shelley i damy zaszli ich odwiedzić. Byron był namiętnym wielbicielem Napoleona, Shelley tak nienawidził torysów, iż był pełen pobłażliwości dla wszystkich ich wrogów. Nieszczęśni więźniowie byli przygnębieni, gdyż zewsząd otaczał ich nastrój nieprzyjacielski, ale poufałość Byrona odrazu ich ożywiła. „No i cóż, mój panie — zapytał jednego z nich — to była piękna bitwa?" „Gdyby ją można powtórzyć, powtórzyłbym ją" — mruknął stary grenadyer i uniesiony przez wspomnienia, krzyknął na całe gardło: „Vive l'Empereur!" Okrzyk ten pochwycony został przez Byrona, Shelleya, Maryę Godwin i p. Clermont. Mogło to poprowadzić za sobą skutki najsmutniejsze. Właściciel domu, gdzie ta scena się odbywała, oberżysta, przybiegł blady, jak śmierć, błagając Byrona, aby zamilknął i dla zatarcia owego krzyku zawołał: „Niech żyje Wellington!" „Precz stara kanalio — odrzekł Byron — przynieś dla nas i dla panów francuzów po kuflu piwa i wypijemy za zdrowie Napoleona. A jeżeli nie powrócisz w trzy minuty, połamiemy ci żebra." Tak się też stało, piwo przyniesiono, i nawet Shelley, który nigdy nie brał do ust ani wódki ani piwa, musiał wypróżnić kufel *ale'u*. „Panie Shelley — wołał Byron — proszę rzucić na ten raz tę dyabelską limonadę i wypić to!" Powrócili następnie do hotelu i Byron przybrał zwykły swój, pogardliwy wyraz twarzy. A tam na ulicy, długo jeszcze rozlegał się okrzyk: „Niech żyje lord Byron! Niech żyje Cesarz!"

Pani Clermont nie szczędzi Byronowi gorzkich wyrzutów i narzekań „Ani ja, ani Shelley nie wiedzieliśmy wówczas, co to za człowiek ten Byron." „Był to w każdym razie wielki człowiek — zauważył Graham—i pani jest zbyt szlachetną, aby żywić dla niego nienawiść."

„Nie mam dla niego nienawiści, lecz wielką obojętność i wzgardę. Nienawiść jest skutkiem zwykłym miłości, a ja nigdy nie kochałam Byrona. Byłam olśniona, oczarowana, ale to nie była miłość."

„A czy pani nigdy nie znała miłości?"

Pani Clermont poczerwieniała i nie chciała dać odpowiedzi. Ale Graham nastawał:

„Shelley?" — szepnął.

„Tak, kochałam go z całego serca i z całej duszy!"

„Może być, iż to właśnie było powodem takiego postępowania Byrona względem pani?"

Nie odpowiadając, odwróciła rozmowę na inny przedmiot.

Obdarza ona Byrona wszystkiemi wadami i złymi nałogami. „Jest to prawda, iż oddawał biedakom trzecią część swej fortuny, ale przy tem wszystkiem był to człowiek egoizmu okrutnego, fałszywy i nieuczciwy, oszalały od próżności. Nigdy nie przestawał grać dla galeryi. Podziwiają zwykle jego kampanię w Grecyi. Nie widzę w tem nic godnego podziwu. Był śmiertelnie znudzony przez hrabinę Guiccioli, którą traktował zresztą w taki sposób, iż żadna kobieta tegoby nie zniosła; nudził się i pojechał do Grecyi z trwałym zamiarem zostania tam królem, wbrew swym przekonaniom ultra-republikańskim."

Graham sądzi, że p. Clermont żywiła nadzieję, iż Byron się z nią ożeni i nie mogła mu wybaczyć zawodu. Shelley natomiast miał się do niej coraz bardziej przywiązywać, wziął ją, trzymał przy sobie, wymógł na Byronie, aby jej zwrócił córeczkę, zapewnił jej starość, którą spędzała w towarzystwie księży, w najgłębszej dewocyi. Dotychczas Graham ogłosił tylko połowę wspomnień p. Clermont, pozostała część wyjdzie na świat dopiero za lat 10. Był to warunek, postawiony przez nią przed śmiercią.

L. W.

ODCZYTY.

Marcin Osmała. *Wykształcenie terminatorów rzemieślniczych w Warszawie.*

Prelegent dotarł bezpośrednio do wykazów statystycznych i z rozproszonych chaotycznych cyfr wybrał szereg najbardziej wymownych, świadczących o niezadowalającym stanie nauki terminatorów rzemieślniczych w szkołach niedzielnych. R. 1891 *) chodziło ogółem 1890 uczniów, a ponieważ w różnych gałęziach rzemiosł było zatrudnionych w tymże roku 13,463 chłopców, z 7-miu więc uczęszcza na naukę tylko jeden. W rzeczywistości stosunek ten jeszcze się gorzej przedstawia, delegacya bowiem statystyczna handlowa nie wszystkich malców, zatrudnionych w warsztatach, objęła w swych wykazach.

Kreśląc w dalszym ciągu niepożądane warunki pracy terminatorów, prelegent zaznacza to charakterystyczne i znane naszym czytelnikom zjawisko: poszukiwanie chłopców z prowincyi. Jest to żywioł podatniejszy, niżeli malcy z bruku miejskiego, a przytem rodzice nie są dokładnie obeznani z istotą rzeczy i wyobrażają, że z chwilą wejścia do warsztatu, dziecko ich ma już byt zapewniony. Tymczasem w rzeczywistości uczeń gdy zostaje czeladnikiem, traci zajęcie, majster zaś opierający swe istnienie na pracy bezpłatnej, przyjmuje nowych. Warunki, w jakie odrazu wpada terminator, nie pozwalają mu myśleć o kształceniu umysłu; rola zaś popychadła zagwożdża w nim słabe zarodki inteligencyi i samodzielności. Z ucznia takiego wyrastający majster, gdy zostanie wybrany na starszego zgromadzenia, uczy się dopiero sztuki podpisywania swojego nazwiska. Rozumie się, taki stan rzeczy nie może dodatnio oddziałać na warunki ekonomiczne rzemiosł. Ich przedstawiciele nie ogarniają szeroko swych potrzeb, nie przywiązują wagi do prawdy ekonomicznej, tkwiącej w przysłowiu ludowem, że gromada to wielki człowiek. Świadczą o tem znamienne przykłady z życia: Od lat dziesięciu istnieje w Warszawie sekcya rzemieślnicza i przez ten czas zapisało się do niej zaledwie pięciu starszych zgromadzenia. Ponieważ jest 56 cechów, więc w ubiegłem dziesięcioleciu na jedenastu przedstawicieli zgromadzeń jeden tylko starszy ma radzić za pośrednictwem sekcyi o potrzebach *dziesięciu tysięcy* pracowników, uprawiających różnorodne rzemiosła, o których taki przedstawiciel pojęcia nawet mieć nie może.

Drugi przykład: Roku 1891 powstało w Warszawie Muzeum rzemieślnicze, mające na celu podniesienie wartości wyrobów za pośrednictwem rozwijania smaku artystycznego śród pracowników. W stworzeniu atoli tej instytucyi nie wzięli udziału ani starsi zgromadzenia, ani wogóle rzemieślnicy. Dopiero w roku ubiegłym pod wpływem usilnej zachęty, do szeregu ofiarodawców (w gotówce i przedmiotach) stanęło *pięciu* starszych i *trzydziestu pięciu* rzemieślników. Obojętność ta zaznacza się w dalszym ciągu na Bazarze rzemieślniczym, którego twórcy przez trzy lata nie mogli zebrać stosunkowo skromnego kapitału, 10,000 rs., pomimo że udziały (400) wynoszą tylko po 25 rs. Dopiero w czwartym (ubiegłym) roku instytucyę ową z wielkim trudem powołano do życia. Ale i tym razem przeważną część funduszu złożyli ludzie nie mający nic wspólnego z rzemiosłem. (Do uczestników zapisało się tylko 12 starszych i 45 rzemieślników). To samo zjawisko przegląda z ruchu około założenia przytułku dla rzemieślników i robotników fabrycznych. I tutaj zaledwie 9 starszych i 50 rzemieślników wniosło swe cegiełki. Wogóle zaś na liście ofiarodawców tego rodzaju zawsze figurują te same nazwiska.

Wreszcie obojętność, jako wynik słabego rozwoju umysłowego rzemieślników, odbija się także i na ich jedynym organie: *Gazecie*, która pomimo dziesięcioletniego istnienia, nie może się rozwinąć należycie, gdy tymczasem za granicą każde rzemiosło liczy tyle organów, ile mieści w sobie działów pracy. Tak np. w Niemczech krawcy i modystki mają 24 pisma, szewcy i kopyciarze 11, stolarze, tokarze i koszykarze 15, zegarmistrze 6, mydlarze 6, siodlarze, tapicerzy i wyrabiający wagi 17, fotografowie 11, piekarze i cukiernicy 12, introligatorowie 8, pracownicy drukarni litografii i sztuki graficznej 30, farbiarze 6, fryzyerzy i golarze 6, szklarze 20, stolarze i pracownicy przemysłu drzewnego 20, kapelusznicy i kuśnierze 5. młynarze 16, piwowarzy i chmielarze 31, elektrotechnicy 8, strażacy i wyrabiający narzędzia do gaszenia ognia 17, rzeźnicy i rybacy 24, garbarze 15, malarze 9, przemysłu metalowego 45, papierowego 13, tytoniowego 3 itd. Tak samo rzecz się ma z wydawnictwami specyalnemi.

Taki niewesoły obraz warunków wykrajaliśmy z odczytu p. Osmały. Prelegent w końcu zaznaczył fakt, iż w ostatnich czasach zapowiedziano szereg szkół nowych, które mogą dodatnio wpłynąć na rzemiosła. Szkoda tylko, że cały przedmiot był traktowany nierównomiernie, że autor, mając na myśli słuchaczów-rzemieślników, za dużo poświęcił czasu na rzeczy obojętne dla nich (wykład o znaczeniu statystyki) nie zarysował wyraźnie przyczyn upadku rzemiosł, nie pogłębił swych uwag i nie wskazał jasno dróg praktycznych, któremi interesowani mają się kierować. Przez to odczyt zyskałby wiele na wartości.

Zn.

*) Autor czerpie dane z r. 1891, późniejszych bowiem jeszcze nie znalazł w takim porządku, ażeby z nich korzystać było można. Przez ostatnie atoli trzy lata stosunki prawie się nie zmieniły.

SALON NA POLU MARSOWEM.

Paryż, 17 maja.

Tegoroczny Salon na Polu Marsowem zawiera niezliczoną ilość drobniejszych płócien, w których przebija się wielki talent, które mile zatrzymują oko i pobudzają do rozmyślania artystycznego. Natomiast spotykamy mało prawdziwych arcydzieł. Winno temu po części coroczne powtarzanie się Salonów. Słaba strona tych wystaw polega na tem mianowicie, iż każdy prawie malarz wartościowy, lub też uchodzący za takiego, uważa sobie za punkt honoru wywieszać utwory swe corocznie, pracuje więc pośpiesznie, tematów nie wybiera, byle skończyć na termin oznaczony. Stąd tyle rzeczy nieudolnych i słabych.

W długiej wędrówce po Salonach na polu Marsowem podzielimy się z czytelnikami tem, co uznaliśmy za najwięcej godne uwagi.

Richon Brunet przejmuje nas dreszczem trwogi postacią odtworzoną z „Rybaków

Islandzkich“ Lotiego. Kobieta w czerni, z książką do nabożeństwa w ręku, oczy wypłowiałe od łez, kroczy nad brzegiem morza po żółtym piasku, usianym kamykami; w dali port.

Prawdziwym talentem obdarzony jest Iwill; jego cztery płótna, poświęcone Wenecyi, roztaczają dziwny urok, zalecając się mistrzowską techniką, kolorytem i wyobraźnią. Na pierwszym z nich widzimy Wenecyę w nocy; port, rzęsiście oświetlony, rzuca na wodę jaskrawe, fosforyczne ognie; księżyc, w pełni przedzierający się przez chmury, rozlewa białawe smugi. Ogólny koloryt szary, morze i niebo jedwabiste. Drugi obraz przedstawia Wenecyę w porze wieczornej; słońce już zaszło, odblaski zachodu różowią lekkie, delikatne obłoczki, księżyc w postaci sierpa wzniósł się wysoko. Ogólny koloryt różowy, tylko latające mewy odbijają od tła. Na trzecim widzimy Wenecyę w noc gwiaździstą; całość tonie w barwach niebieskich. Niebo przezroczyste, bez chmur, pociągające nieskończonością. Na ostatniem płótnie przedstawia nam artysta Wenecyę za dnia, jakby białym muślinem przykrytą. Te cztery obrazy: szary, różowy, niebieski i biały dziwnie przemawiają do wyobraźni, każdy z nich nastraja duszę na inny ton. Iwill posiada dar hypnotyzowania urokiem piękna.

Baudouin wystawił kilka obrazków wiejskich, uderzających prawdą i prostotą, podobnie jak Iwill. Jest to niezrównany kolorysta; utwory jego odznaczają się kolorytem złotawym; na polu złote sterty siana, złocone przez słońce, a złotowłose dzieci noszą jasne snopy zboża. Inne płótno przedstawia dziewczynę płową, opaloną; stoi na czółnie przyczepionem do brzegu, oczy niebieskie wzniosła do góry, wpół otworzyła purpurowe usta, chwyciła się rękoma gałęzi i wpadła w zadumę. Za nieudatny uważamy obraz dużych rozmiarów tegoż artysty „Wnętrze drukarni“; wykończenie staranne, ale nic niemówiące; jest to wierne odbicie natury, rodzaj fotografii, a raczej szyldu.

Firmin-Girard przedstawił owce, pasące się na skąpej trawie, mchu i wrzosach nad brzegiem morza. Zadumany pasterz, wsparty na kiju, spogląda na fale; nad całością króluje purpurowe słońce, rzucające ukośne promienie i różowiące grzbiety owiec. Urokiem poezyi owiany jest drugi krajobraz tegoż autora: młoda kobieta maluje nad brzegiem strumienia, pudło z farbami leży na ziemi, twarzy malarki dobrze nie widać, możemy domyślać się, że jest piękną; wiosna budzi się w naturze, mchy zielenieją i wpośród żółtej trawy zaczynają wyglądać białe i złote główki leśnych kwiatów. Troje dzieciaków wiejskich z zaciekawieniem spogląda na „piękną panią.“

Aubleta naga kobieta, wsparta o drzewo nad brzegiem strumienia wobec nadpływających łabędzi, mile pieści oko harmonią barw i lekkim liliowym odcieniem.

Point, wyrafinowany symbolista, wystawił kilka płócien wielkiej wartości. Przykuwająca jest kobieta („Marzenie kobiety“), siedząca na ziemi, wsparta o pień drzewa, z oczyma wdal wpatrzonemi, z odblaskiem nieskończoności. „Ame d'automne“ przedstawia melancholiczną kobietę, z bukietem chryzantemów w dłoni, siedzącą przed gęstwiną ze złotej i brunatnej roślinności. Obrazy te poruszają w duszy cały świat myśli i marzeń.

Jednym z najpiękniejszych obrazów Salonu jest J. J. Rousseau „Fin de Séance“: naga postać kobiety, zmęczonej długiem pozowaniem, wyciągająca się z zadowoleniem na krześle; twarz nieładna, lecz piękne kształty, przytem mistrzowskie oświetlenie.

Jednym z najlepszych malarzy ciała niewieściego jest Gervet; jego „Le Bain“ przedstawia młodą kobietę, odwróconą plecami, przygotowującą się do kąpieli. Obraz ten zaliczyć można do ozdób Salonu.

Z pomiędzy portrecistów wymienimy nazwiska: Mathey'a, Sain'a, Desboutin'a (portret Hamilkara Cypriani'ego), Rixensa, Karolusa Durana (oraz większych rozmiarów płótno tegoż artysty „Ostatnia godzina Chrystusa“), a wśród krajobrazów zwracają uwagę widoki morza Jerzego Hugo, wnuka wielkiego poety, i Moore'a; Barrau'a widoki z Hiszpanii, Carina krajobrazy tchnące łagodnym spokojem. Niezrównanym pejzażystą jest anglik Whistler. Jest to artyzm doprowadzony do najwyższych granic, nie kopia, nie fotografia bezmyślna natury; to życie, huk fal, szum wiatru, drganie cząsteczek eteru, oscylacye oceanu powietrznego i morskiego, drgnienia duszy ludzkiej na widok piękna rozlanego w naturze, ogrom odczuwanych pragnień, rozrywających serce i rozsadzających czaszkę. Trzeba być wielkim artystą, poetą i myślicielem, aby tak do głębi wstrząsnąć istotą ludzką. Prócz widoków z Bretanii Whistler wystawił jeszcze trzy portrety kobiece, między innymi portret pani de Montesquieu uważany za arcydzieło.

Ilustracyi do ewangelii dostarczył James Tissot W dwóch salach umieścił kilkaset akwarel, wyobrażających wszystkie epizody życia chrystusowego od narodzin aż do zgonu. Artysta dwa razy jeździł do Palestyny, badał historyczne zabytki przeszłości, przyrodę, kostiumy, zwyczaje i ludzi. Odtworzył dzieje chrystusowe z całą dokładnością i sumiennością historyka. Ale na tem nie kończy się jego zadanie. Artysta ten jest głęboko wierzącym mistykiem, jego prace są dziełem propagandy. Życie swe poświęcił nawracaniu niewiernych lub wątpiących. Owa misya apostołowania w połączeniu z olbrzymim talentem malarskim i sumiennością badacza czyni Tissota jedną z wybitniejszych postaci współczesnych.

Osobną salę przeznaczono freskom znakomitego malarza i dekoratora francuskiego, Puvis'a de Chavanne. Z prawdziwą rozkoszą można posiedzieć tu parę godzin. Freski te, przeznaczone dla paryskiego Ratusza, wyobrażają Wiktora Hugo, ofiarującego swą lirę Paryżowi. Poeta w todze i sandałach wręcza ją kobiecie, a pod kolumnadą stojące dziewice trzymają wieniec, młodzieńcy palmy w dłoniach. Aniołowie obrazy lila na niebie błękitnem trąbią chwałę wielkiego męża. Ugrupowanie artystyczne, harmonijne, koloryt niebieski, łagodny, dużo powietrza i przestrzeni. Jakaś jasność uderza z tego obrazu i uczuciem błogości napełnia duszę.

Prócz głównego środkowego, dwa freski boczne przedstawiają alegoryczne figury, otoczone tem samem światłem łagodnem i promiennem. *Ognisko umysłowe* wyobraża kobietę, trzymającą pochodnię wiedzy, mężczyzn, zagłębiających się w tajniki natury; *Zapał artystyczny*, zgromadzenie młodych artystów; *Patryotyzm*, człowieka idącego na daleką wędrówkę, aby spełnić ofiarę dla ojczyzny; *Miłosierdzie*, kobietę pocieszającą nieszczęśliwych; *Odwaga*—to człowiek o pięknych kształtach, ratujący tonącego. Jednakowa siła rozlana jest wszędzie, barwy dopełniają się wzajemnie, wieje pełnia życia, spokój, wiara w ideały.

Na zakończenie słówko o rzeźbach. Oddział ten niezbyt liczny; jest to miłe miejsce spoczynku, dużo powietrza, miejsca, kwiatów i zieloności. Rzeźby rozrzucone są wśród drzew i krzewów. „Nędza“ Desbois w postaci starej, wychudzonej, wyniszczonej kobiety, ze śladami dawnej piękności, studyum pełne siły i wyrazu. Panny Kamilli Claudel „Le dieu envolé“ wyobraża kobietę klęczącą, z załamanemi rękoma, z podniesioną głową. Hausen Jacobson — „L'Astronomie“ i Mulot — „Le Sommeil de Léda (kobieta uśpiona w objęciach łabędzia).

Sztuka stosowana do przemysłu i ornamentyka znalazły jak i lat poprzednich pomieszczenie w Salonie. Specyalna sala, urządzona nadzwyczaj gustownie, zawiera liczne przedmioty zbytkowne, piękne kwiaty, obicia, meble, lustra. Artystycznie urządzone kominki, podparte karyatydami, medaliony, płaskorzeźby, witryny, dzbany, kieliszki, tace, dywany i ściany zawieszane gobelinami, składają się na artystyczną całość. *J. Jot.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

CHŁOP GALICYJSKI.

Utarty komunał, iż siermięga chłopska jest ostoją tradycyi i konserwatyzmu, zdawał się do ostatnich czasów nie być pozbawionym głębszego znaczenia. Nadaremnie kołatały do zagrody chłopskiej wszelkie t. zw. kwestye żywotne; nadaremnie siliły się świeższe prądy umysłowe zalać swą falą grunt wiejski; promienie wielkich idei i zdobyczy cywilizacyjnych nie przeszywały zmroku, ogarniającego mózg zachodnio-europejskiego chłopa. Nie powinno nas to dziwić, iż objawiał on zupełną obojętność i niewrażliwość na dolatujące do niego z wrzątka społecznego odgłosy. Jego duchowy widnokrąg przecież nie sięgał dalej kilkamorgowego zagonu, a dążenia i ideały skupiały się na szmacie ziemi, który zraszał swym potem i miłował całą głębią prostaczego serca. Lecz czas, który kruszy skały i wznosi góry, przeprowadził rysę przez sam środek duszy chłopskiej i wpisał do niej nowe pojęcia i myśli. W miarę tego, jak na Zachodzie z pod nóg chłopa usuwa się grunt, w miarę tego jak zamiast sukmany przywdziewa on bluzę wyrobnika, porzuca też jako zbyteczny balast stare instynkty i ideały, wychowane i wypieszczone pracą wielu stuleci i wykąpane we łzach licznych pokoleń. Bardziej głębokim jeszcze wstrząśnieniom moralnym podlega istota chłopa w tych krajach, gdzie on, nie rozłączając się z glebą rolną i nie zrywając z nią stosunków, pozostaje na stanowisku jej sługi, zamiast pana. Obsługując swą starą karmicielkę, wzdycha on po tym utraconym raju, do swej własności, która stanowiła jego szczęście i radość, wypełniała jego życie i nadawała mu pewien urok. Do takich krajów, gdzie położenie chłopa jest splotem sprzeczności i tragizmu, należy przedewszystkiem Galicya. Ogarnijmy przelotnem spojrzeniem ciernistą drogę, którą przeszedł chłop tamtejszy, nim wpadł do paszczy lichwiarza i pogrążył się w trzęsawisko nędzy i wyzysku. Wolność jego narodziła się pod nieszczęśliwą gwiazdą, przy warunkach wróżących mu nieubłaganą walkę o kęs chleba. Urzędowym aktem 1848 r. rozkuto go z kajdan pańszczyźnianych i wyzwolono z pod jarzma swawoli i wybryków despotyzmu feudalnego. Lecz obdarzywszy ogół chłopski wolnością, nie dano mu materyalnej podstawy, którąby mogła służyć za najlepszą rękojmię jego niezależności na przyszłość. Jeżeli mamy dać wiarę słowom Kalinki, tylko $^1/_6$ włościan otrzymała w posiadanie ziemię, która należała do niej i przed zniesieniem poddaństwa; pozostała zaś część zamiast gruntu, kapitałów i narzędzi musiała się zadowolić platoniczną wolnością, przypominającą niezależność ptaków niebieskich. Jakkolwiek nie da się w tej kwestyi z danych historycznych wyłuskać ścisłych cyfr *), jednakże, nie narażając się

*) Tak przynajmniej twierdzi Budzynowski, z którego pracy „Der Bauernbesitz in Galizien“ korzystamy.

na przesadę, możemy powiedzieć, iż 216 tysięcy osad otrzymało małe nad wyraz działki, które w żaden sposób nie były w stanie wyżywić swych gospodarzy. I cóż miała począć ta szczupła, uprzywilejowana garstka *beati possidentes* z gorącą żądzą pracy w sercu, lecz z pustkami w kieszeni? Jak miała ona zaradzić swej bezsilności, rzucona w wir kokurencyi wszechświatowej, i jak dotrzymać kroku postępowi techniki i wymaganiom rynku bez wsparcia i taniego kredytu? Szlachta, której dewizą miało być:

Jeden tylko, jeden cud,
Z szlachtą polską — polski lud!

nie przyszła z pomocą swej młodszej braci, a natomiast wyzyskała emancypacyę włościan, jako dobry interes, otrzymawszy od kraju za wspaniałomyślne zrzeczenie się swych przywilejów 91 mil. guldenów. Bardziej jeszcze promienne światło rzuca na popędy i uczucia szlachty historya zatargów, powstałych z powodu gminnych lasów i łąk. Na mocy prawa z 20 września 1782 r. nadzór nad gminnymi lasami został powierzony przedstawicielom wielkiej własności ziemskiej. Ci, nie zasypiając gruszek w popiele, starali się nadać temu prawu bardziej obszerne, dla siebie zaś bardziej korzystne znaczenie, czego dowodem zupełne przywłaszczenie gminnych lasów przez tych, którzy mieli piastować tylko urząd nadzorców. Chłopi protestowali przeciwko takiemu bezprawiu. Szlachta atoli poruszyła wszystkie sprężyny, aby „uspokoić“ malkontentów i dać im wykład tłomaczenia prawa bądź przy pomocy huzarów, częstowanych przedtem gorzałką dla animuszu podczas udzielania lekcyi, bądź drogą chwytania i chłostania prowodyrów lub świadków. Pokrzywdzeni po długich, arcy długich procesach musieli dać za wygraną i uchylić czoła przed majestatem austryackiej sprawiedliwości. Nie będę opisywał przejmujących zgrozą scen, opowiedzianych na sejmie galicyjskim 1893 r. przez jednego z posłów chłopskich, naocznego świadka tych objawów ojcowskiego uczucia ze strony szlachty. Ile zawodów i rozgoryczenia dała chłopu galicyjskiemu rozczulająca Iheringa „walka o prawo,“ niechaj świadczy ten wymowny fakt, iż z 32 tysięcy procesów, wszczętych z powodu praw serwitutowych, chłopi przegrali 30 tys. Trzeba dodać, że zatarg ten jeszcze po dzień dzisiejszy nie jest ukończony. I obecnie jeszcze w Karpatach, dzięki prawnym matniom i różnym dokumentom, nierzadko jakiś chłop, hodujący na swych łąkach bydło swych lichwiarzy, bywa pewnego pięknego poranku wypędzony z siedziby swych ojców, a jeżeli przypadkiem okaże się właścicielem kilku sztuk bydła, to ono zostaje sprzedane drogą licytacyi dla pokrycia wyrządzonych przez nie szkód. Oto, jaką drogą postępowało uwłaszczanie i wywłaszczanie chłopa galicyjskiego. To oczyszczanie ziemi i jednocześnie kieszeni chłopskiej posuwało się wciąż naprzód. Za zniesienie prawa propinacyjnego chłopstwo zapłaciło 13½ mil. guldenów. Gdy w r. 1869 została delegowaną komisya, składająca się z tysiąca prawie osób (w tej liczbie 63 chłopów!) dla sprawdzenia czystego dochodu kadastrowego, który miał posłużyć za skalę opodatkowania, zmniejszono sumę przypadającą na wielką własność o 3 miliony guldenów, które doliczono na rachunek włościanina. Na jego wątłe barki zwalono w taki sposób dodatkowego podatku rocznego 684 mil. guldenów. Nieodzowne następstwa takiego braterstwa i ojcowstwa nie dały na siebie długo czekać. Posiadłość mniejsza, uginając się pod ciężarem zdzierstwa, zaczęła się rozpadać, powiększając w ten sposób zastęp drobnych właścicieli i zmniejszając grupę bardziej uprzywilejowaną. Pierwsza kategorya wzrosła w trójnasób, podczas gdy druga zmalała prawie w tym samym stosunku. Proces ten przyśpieszył kroku zwłaszcza od r. 1868, w którym zniesiono prawo, ograniczające podzielność gruntów i ogłoszono wolność procentu lichwiarskiego. Wskutek tych nowych zmian w stosunkach prawnych uwidoczniа się inna dążność, dająca wiele do myślenia. Następuje nietylko różniczkowanie się w sferze chłopstwa i nabrzmiewanie grupy upośledzonej w porównaniu z obozem bardziej majętnym, lecz jednocześnie kurczy się obszar przeciętnego gospodarstwa chłopskiego, na co, oprócz wymienionych okoliczności, składają się jeszcze inne przyczyny. Musimy tu podkreślić jedną cechę, charakteryzującą ekonomiczny ustrój Galicyi, a mianowicie prawie zupełny brak wielkiego przemysłu, wskutek czego tworzący się z biegiem czasu na wsi „nadmiar“ ludności nie nadciąga do miast, lecz lgnie dalej do wycieńczonej i coraz bardziej rozdrabnianej ziemi. Podczas gdy w Węgrzech poświęca się rolnictwu 26%, w Czechach 45% całkowitej ludności, w Galicyi oddaje się tej gałęzi przemysłu aż 77%. W rolniczych okręgach Anglii zamieszkuje na przestrzeni 1 kilom. kw. 27 osób, w Rumunii 38, w Kroacyi 45, w Węgrzech 49, w Galicyi zaś 99. Mamy też tu do czynienia z innym faktem, znajdującym się w ścisłym związku z opisanym. Podczas gdy w całej Europie miasta rosną szybciej od wsi, Galicya stanowi pod tym względem zupełne przeciwieństwo. To obciążenie ziemi tytułami rolnej własności dochodzi do tego stopnia, iż chłop zadawala się ilością gruntu, którаby mu wystarczyła dla zbudowania chałupy. To też jego gospodarstwo staje się coraz mniej sprężystem, wytrzymalem i odpornem na wpływy otaczającego świata. Przeciętny włościanin galicyjski ciągnie ze swej ziemi 3 razy mniejsze dochody, niż chłop Austryi Dolnej.

Lecz musimy do wyżej przytoczonych faktów wnieść jedną poprawkę, mianowicie, że właściwie chłop galicyjski dawno przestał być właścicielem swej ziemi, którą rozporządza tylko nominalnie. Jeszcze w r. 1868 posiadłość rustykalna była obarczona długiem hypotecznym tylko 168,000 guldenów, w r. 1888 suma ta wzrosła już do 45 mil. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że kredyt hypoteczny jest prawie niedostępny dla chłopa galicyjskiego, zrozumiemy, że wyżej przytoczona kwota jest drobnym ułamkiem ciążących na nim zobowiązań, kroplą w morzu jego odłużenia. W przeciągu lat 1884—8 zmieniała rocznie swego właściciela wskutek wypadków śmierci ilość ziemi, wartująca 2 mil. guld., za sprawą zas fiskusa i lichwiarzy podlegał wywłaszczeniu grunt, ktorego wartość wynosiła 7 mil. Wszystko to jest w porządku rzeczy i znajduje się w ścisłym związku z nierównomiernością między „credit“ a „debet“ bilansu włościanina. Z 10 guld. 14 krajc. czystego dochodu chłop oddaje połowę tytułem podatku gruntowego. (Podług prof. Głąbińskiego 191 gmin opłaca podatki w wielkości 100% swego czystego dochodu kadastrowego). Z pozostałej sumy wynagradza on księdza, notaryusza, sąd, adwokatów, asekuracyę, szkołę, gminę i nieodłącznego towarzysza swej niedoli — lichwiarza. Ten ostatni góruje nad całą czeredą indywiduów i korporacyj, które chłop karmi swym potem, łzami i krwią. Skala procentów, wyciskanych z naszego nieboraka, zaczyna się od 50 i wznosi do 550. Poseł dr. Rydzowski zapewniał w parlamencie, iż znane mu są wypadki, gdzie pobierano 1000%. Należy więc dosłownie rozumieć wypowiedzianą przeze mnie myśl, iz chłop galicyjski nie jest panem swego zagona, który mu służy tylko jako „field of employement“ dla spełniania robocizny na korzyść już nie jednego pańszczyźnianego pana, lecz całej chmary darmozjadów. Nie trzeba zapominać, iż ma on pewne obowiązki i względem swego własnego ciała, które tratowane, męczone i umartwiane domaga się zaspokojenia swych elementarnych potrzeb. Otóż dla wyżywienia siebie samego musi on znowu dać się przykuć niewidzialnym łańcuchem do dziedzica, który za ofiarowane mu usługi płaci podczas robót polnych 50—80 kr. dziennie, po żniwie zaś 20—30 kr. (kobieta pobiera 10—15 kr.).

Wskażę jeszcze tylko kilka stron materyalnego stanu chłopa galicyjskiego, aby dać czytelnikowi przybliżone pojęcie o owym ropiącym się na ciele Galicyi wrzodzie nędzy i wyzysku. Chata przedstawia po większej części nikłą, pod słomą lepiankę z maleńkiem, szczelnie przymkniętem okienkiem, bez podłogi i komina. Przybytek włościanina służy jako schronisko i dla innych sublokatorów — przedstawicieli świata zwierzęcego. Ma to zresztą i swą jasną stronę: wypływa stąd pewnego rodzaju mutualizm, gdyż wytwarzające się w większej ilości ciepło zwierzęce zaradza brakowi opału. Nie jest to bynajmniej bagatelą wobec tego, że 3,541 gmin nie posiada wcale lasu, a 4 mil. galicyjskiego chłopstwa rozporządza tylko 16% wszystkich lasów. Jak chłop wogóle zaspokaja swe potrzeby kulturalne, niechaj posłuży np. fakt, iż w zimie cała rodzina chłopska posługuje się jedną parą familijnych butów; łóżko, a niekiedy siennik są to przedmioty zbytku w oczach proletaryatu rolnego; w niektórych miejscowościach dla pojęcia siennika istnieje tylko wyraz „strozak,“ zapożyczony z życia wojskowego. Pożywienie chłopa jest również nędzne. Kartofle, które razem z zupą rumfordzką stanowią podwalinę naszej kultury, ogórki, kapusta i najordynarniejszy chleb — oto zwykła strawa. Niech się cieszy, że są syci wszyscy ci, którzy ciosają kołki na jego nieszczęśliwej głowie. Ludność rośnie, ziemia coraz bardziej się rozdrabnia i przechodzi na własność tych, którzy nie pracują, a techniczne udoskonalenia i maszyna rugują w większych majątkach ręczną pracę najemniczą. Cóż więc dziwnego, że chłop wszystkie swe nadzieje pokłada w reformie wyborczej i głosowaniu powszechnem? Cóż pocznie on, jeżeli i ta ostatnia deska ratunku okaże się bańką mydlaną?

H. Forszteter.

LIBERUM VETO.

Rozkosz publicystyczna. — Uwaga Le Bona i śmiech Mefistofelesa. — Środki przekonywające o nieomylności pewników. — Móżdżek niewieści. — Statystyka prof. Laskowskiego. — Bohaterki. — Kilka objaśnień do wymownych cyfr. — Głos przeciw używaniu alkoholu. — Naśladownictwo czy potrzeba.

Jednem z najprzyjemniejszych zadań publicysty jest obowiązek wyjaśniania rzeczy najzupełniej jasnych, bronienia spraw rozstrzygniętych i dowodzenia prawd niewątpliwych. Bo czyż to nie rozkosz jeszcze raz wykazać, że dwa trójkąty, mające po trzy boki równe, są sobie równe, a wykazać z tą miłą nadzieją, że jutro znów ktoś odważny zawoła: „A ja powiadam, że nie są równe!“ Przyjemność tę zawdzięczamy szczególnej pomysłowości natury, która sprawia, że ludzie mający nie po trzy, ale po sto boków jednakich, nie są jednacy. W poprzednim numerze *Prawdy* przedstawiono teoryę Le Bona o duchu ras. Być może, że teorya ta w całości swej jest błędna, ale że zawiera wiele spostrzeżeń trafnych, trudno zaprzeczyć. W tej chwili mam szczególnie na myśli uwagę autora, że ludzie mimo pozorów umysłowego pokrewieństwa i używania tych samych wyrazów, nie rozumieją się wcale, gdyż są organizacyami zupełnie odmiennemi. Dla doświad-

czenia nie potrzeba ani kłopotliwych przygotowań, ani kosztownych narzędzi, więc spróbujcie zbadać ściśle śród waszych znajomych, co oni pojmują przez: miłość, poświęcenie, egoizm, pracę, zarobek, kradzież, grzeczność, obowiązek itd. Zobaczycie łatwo, że wszyscy różnią się w rozumieniu tych wyrazów, że tam, gdzie jeden widzieć będzie miłość lub zarobek, drugi dostrzeże egoizm lub kradzież itd. Ile razy zachodzi taki wypadek — a zachodzi w 999 na 1000 — Mefisto, przyglądający się z boku naszym sporom, kłótniom, wysiłkom wzajemnego przekonania się, parska co chwila szyderczym śmiechem i woła złośliwie: „Dalej dzieci, walczcie z sobą, drzyjcie się za czuby, dopóki wam włosy starczą, i nie domyślcie się nigdy, że każdy z was ma inny rozumek!“

Czyż tedy nie ma prawd, na któreby się wszyscy zgodzili? O, są, nasuwa się tylko przy nich pytanie: czy wierzylibyśmy wszyscy bez wyjątku, że linia prosta jest najkrótszą odległością między dwoma punktami, gdyby nam tego od dzieciństwa nie wszczepiano: rózgą, kozą, złą i dobrą cenzurą, karą i nagrodą? Pod wpływem tych środków tak przyzwyczajamy się w końcu do owego pewnika, że staje się on dla nas niewzruszonym.

Pedagogika nasza nie wprowadziła jeszcze do swego systemu zasady, że kobieta ma prawo i zdolności do wyższego wykształcenia, nikt za powątpiewanie o tem nie dostaje w szkole złego stopnia i nie ma wstrzymanej promocyi, więc wątpimy, kłócimy się i często dochodzimy do wniosku, że móżdżek kobiety jest przeznaczony na to, ażeby go w eleganckiej muszelce ze smaczną przyprawą zjadł mężczyzna. Daremnie móżdżek ten czasami objawia szczególne moce, którym nie dorównywają tysiące mezkich — znajdą się filozofowie, którzy powiedzą: „więc cóż z tego?“ Jeden najdrobniejszy fakt posiada dostateczną siłę do obalenia najpotężniejszej teoryi, która mu przeczy. Ale to dotyczy tylko: kryształów, komórek roślinnych, ptaków, gadów i innych tworów, nie zaś kobiety. Jeden odnaleziony szczygieł z zielonemi piórami przekreśla odwieczną charakterystykę upierzenia szczygłów, lecz skoro istnieje teorya, że móżdżek niewieści ma być w ładnej muszelce jedzony przez mężczyznę, gdyż do innego użytku jest nieprzydatny — nie jedna Sand lub Konopnicka, ale sto genialnych kobiet nie zdoła tej reguły podważyć. Oto skąd tryska dla publicystów niewyczerpana przyjemność ustawicznego dowodzenia twierdzeń dowiedzionych. Nie da się z nią wcale porównać rozkosz wbijania w głowy malcom tego, że 2 przyp. od *mensa* jest *mensae*, a od *stół — stołu*, gdyż oni po kilku miesiącach wszyscy się na to zgadzają i odbierają nauczycielowi zadowolenie.

Co innego t. zw. kwestya wyższego ukształcenia kobiet. Na wyłożenie jej rozmaitym filozofom nie wystarczają lata. Prof. Laskowski z Genewy od czasu do czasu podsuwa nam pod oczy statystykę niewieścią swego wydziału, która tym filozofom jeszcze raz pozwala zamknąć oczy na... szczygły zielone. Według ostatniej wiadomości, ze 175 studentek ukończyło medycynę 14; z tych ostatnich 3 zdobyły szeroką praktykę, 4 — poświęcają się dalej nauce, reszta, wyszedłszy za mąż, zapomniała o niej zupełnie. Fatalny rachunek — nieprawdaż? Naprzód 14 ze 175! Co za mizerny rezultat! Z tyluż mężczyzn doplynęłaby do brzegu najmniej połowa. W prawdzie mają oni ułatwioną nieco tę przeprawę, ucząc się przez lat 8 w gimnazyum języków starożytnych i nauk przyrodniczych, które albo są niezbędne dla studyów medycznych, albo wymagane, ale czyż ten drobiazg warto ważyć? Cóż to wielkiego przygotować się do egzaminu dojrzałości z łaciny, greckiego, zoologii, botaniki, mineralogii, chemii, fizyki? To jak przeczytać siedem powieści Bourgeta. Kiedyś zrobiłem zarzut kobietom kończącym uniwersytety, że one noszą swoje dyplomy jak korony, podczas gdy mężczyźni swoje — jak zwyczajne czapki.

— Bo to są korony — odrzekła mi jedna z nich — cierniowe.

Ktoś zauważył słusznie, że gdyby bitwy rozgrywały się w nocy, byłoby daleko mniej bohaterów. Kobiety, nieoświecone należycie, walczą w nocy i dlatego tak są dumne ze swych zwycięztw.

Gdybym powiedział, że ze 175 kobiet, posiadających wykształcenie nie pensyonarskie, lecz mezko - gimnazyalne, 100 skończyłoby niezawodnie uniwersytet, czy Mefisto śmiałby się ironicznie? Może—nie.

Wyjeżdżając do Genewy, w głowie mają mało, w kieszeni — jeszcze mniej. Nauka zaś nie uwalnia od jedzenia, owszem, wymaga obfitego. A czy do uniwersytetu udają się panny bogate lub zamożne? Takie wolą z wędkami usiąść nad potokiem życia i łapać mężów. Lecz do światła, w którem zwykle giną, lecą przeważnie ćmy biedne. Jedna ma zaledwie na koszta podróży, inna — na utrzymanie się przez kilka lub kilkanaście miesięcy, wszystkie liczą na jakiś cud, na coś lub kogoś, na zarobek, na wspaniałomyślność rodziny; dopiero gdy ogłodzone zaczną chorować na migreny i błędnice, rozpoczyna się odwrót, który powiększa nową liczbą niepomyślną statystykę studyów niewieścich. Najbezmyślniejszym wyrazem w mowie ludzkiej, mającym wszakże pozory wielkiej mądrości, jest cyfra statystyczna. Ze 175 studentek skończyło wydział lekarski 14 — zdaje nam się, że postawiwszy obok siebie te dwie cyfry, zrobiliśmy znakomite odkrycie i zyskali niewzruszoną oporę dla wniosku o zdolnościach kobiecych. A tymczasem gdybyśmy rzekli: Ze 175 osób, które wyszły z Warszawy do Bielan, tylko 14 przybyło na miejsce, nikt nie wywnioskowałby, że Warszawę od Bielan oddziela olbrzymia przestrzeń, możliwa do przebycia zaledwie dla 14 osób ze 175, lecz przypuściłby, że 161 cofnęło się przed ulewnym deszczem lub skwarem. Niech nam prof. L. opowie historyę tych 161 studentek, które nie dotarły do ostatecznego egzaminu, a wtedy zobaczymy, ile w tem było braku zdolności, a ile słabego przygotowania lub nędzy.

Z owych 14 tylko połowa pozostała wierną swemu zawodowi i nauce, druga zaś część, wyszedłszy za mąż, zapomniała o medycynie. Znowu wymowna cyfra, ale znowu nic nie wspomina o losach tej drugiej połowy. Pozwolę sobie dopełnić jej „wymowno“ milczenie. Owe lekarki, które wyszły za mąż i sprzeniewierzyły się swemu celowi, prawdopodobnie nie chciały, jak Mendelsonówna, jechać na praktykę do Kairu lub innego kąta Afryki. Mężczyzna, otrzymawszy dyplom, ma tylko jeden kłopot: gdzieby się osiedlić i zdobyć praktykę? Cały świat stoi dla niego otworem. Dla kobiety pozostają tylko bardzo nieliczne na kuli ziemskiej punkty cywilizacyi, gdzie jej wolno zużytkować swą pracę. A gdy ją rozczarowania i przeszkody zniechęcą, gdy wyszedłszy za mąż, złoży medycynę w swych młodzieńczych wspomnieniach, wtedy mówimy: na 14 aż 7 sprzeniewierzyło się swemu zawodowi — i zdaje nam się, żeśmy stwierdzili fakt niechęci kobiet do nauki i pracy. Czy my jesteśmy złośliwi figlarze, czy tak naiwni?

Broszura, mająca na celu apostołowanie pewnej idei, nie może obracać się na gruncie ścisłości naukowej, lecz dla zapewnienia siły swym wywodom musi je bodaj troszkę rozciągnąć przesadą. Kto chce wykorzenić zwyczaj puszczania krwi nad odpustach, oczyścić powietrze mieszkań, odstraszyć od oglądania widoków denerwujących, usunąć pijaństwo i t. p. — musi twierdzić, że każda z tych przyczyn rodzi najstraszniejsze skutki. Zaledwie kiełkującą u nas ideę zupełnej wstrzemięźliwości od trunków dr. M. Flaum postanowił wzmocnić osobną broszurą („Alkohol i alkoholizm“). Autor jest wyznawcą bezwzględnego powstrzymywania się od użycia tej „trucizny,“ którą chce zachować tylko w aptece. Powołuje on na świadectwo fizyologię, farmakologię, medycynę sądową, hygienę przeciw zgubnemu nałogowi. Nawet umiarkowane picie potępia stanowczo. Nie myślę zaprzeczać słuszności twierdzeń, ostrzeżeń i rad. zwłaszcza dotyczących alkoholizmu; zdaje mi się jednak, że dr. F. zbyt jednostronnie wskazał źródło nałogu, uważając go za sztuczny wytwór naszej woli, albo raczej głupoty. „*Nikt* — powiada on — nie zaczyna pić z popędu do alkoholu, z wrodzonego, jak chcą niektórzy, instynktu. Główną przyczyną jest tu, jak i w wielu innych razach, wprost bezmyślne naśladownictwo.“ I tak bywa, ale w naśladownictwie nie tkwi cały klucz zagadki. Zrodziła i podtrzymuje ten nałóg bardzo złożona suma warunków życia i stanów fizyczno-psychicznych. Jak ludzkość w pewnych epokach swego rozwoju rodzi odpowiednią jej upodobaniom sztukę lub odpowiednią jej potrzebom technikę, tak wynajduje sobie odpowiednie używki. Widziałem małe dziecko, którego nie można było jeszcze posądzić o naśladowania, a które po wypiciu odrobiny piwa lub wina całowało z zachwytu kieliszek. „Pijemy — mówi autor — gdy się spotykamy; pijemy, gdy się rozstajemy. Pijemy, kiedy nam głód dokucza, aby go zdusić; pijemy, gdyśmy syci, aby apetyt pobudzić. Gdy zimno, pijemy, żeby się rozgrzać; gdy gorąco, pijemy, żeby się ochłodzić. Senni pijemy, ażeby módz czuwać, a gdy nas bezsenność trapi, pijemy, aby módz zasnąć. Pijemy, bośmy smutni; pijemy, bośmy weseli. Pijemy, witając nowonarodzonego; pijemy, żegnając zmarłego. Pijemy—pijemy bez upamiętania.“

I dlaczegóż my tak pijemy? Dlatego tylko, że jedni drugich małpujemy? Och, nie! Widocznie nosimy w sobie jakąś potrzebę, czy też — jeśli kto woli — chorobę, która łaknie alkoholu. Nie odmawiam ani zasług, ani powodzeń towarzystwom i rzecznikom wstrzemięźliwości; mniemam jednak, że ich wpływy osiągać będą skutek zawsze w bardzo ograniczonym zakresie, i dopiero jakaś wielka zmiana w warunkach życia, jakiś zwrot w jego rozwoju oduczy ludzkość od alkoholu.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Na wzór Warszawy powstała tu również instytucya kolonij letnich i rozwija się pomyślnie. Zachodzi tylko ta różnica, że właściwie istnieją dwie organizacye: chrześciańska i żydowska. Obie są jeszcze młode, bo mają zaledwie rok życia, więc naturalnie nie mogą dorównać rozmiarami warszawskim. Przytem żydzi więcej okazują ruchliwości w tym względzie i mają na wsi pomieszczenia bezpłatne dla dzieci, których liczba w chwili obecnej sięga 140 (chłopców 50, dziewczynek 90). „Dlaczego przy tej dobrej sprawie — pisze *Wiek* — nie połączono rąk do wspólnego działania, którego rezultaty mogłyby być jeszcze pomyślniejsze, niż są — odpowiedzieć na to mógłby nietakt pierwotnych inicyatorów, a raczej wykonawców projektu, którzy naradzając się w cichości ducha, uważali za właściwe pominąć żywioł chrześciański.“ — Miejscowe chrześciańskie Towarzystwo dobroczynności zajmuje się myślą publicznej łaźni ludowej. Co do środków, proponowane jest zbieranie ich przez podpisy. Przytem kilku przemysłowców podobno postanowiło własnym kosztem urządzić przy swych zakładach kąpiele dla robotników, o ile się znajdzie dostateczny zapas wody, o którą na masowy użytek nie jest zbyt łatwo w Łodzi.

Dąbrowa Górnicza. Program szkoły sztygarów ulegnie wielu ważnym zmianom: kurs czteroletni będzie skrócony o jeden rok w ten sposób, iż dwa pierwsze zostaną jako ogólne, trzeci zaś, specyalny, rozpadnie się na dwa oddziały: sztygarski i hutniczy. Zajęcia w warsztatach mają być ograniczone. Program dwu pierwszych kursów ogólnych będzie tak ułożony pod względem przedmiotów wykładowych, iżby uczniowie mniej zdolni, nie mogący przejść na trzeci specyalny, opuszczali szkołę z pewnem przygotowaniem do niższych posad górniczych. Kandydaci, wstępujący do szkoły, muszą przedstawić świadectwo z odbycia przynajmniej jednorocznej praktyki w kopalni lub hucie. Ponieważ ograniczenie co do wieku kandydatów staje się powodem, iż wielu robotników górniczych starszych, pomimo zdolności i chęci, nie może ze szkoły korzystać, przeto jako *minimum* oznaczono 17 lat, *maximum* zaś nie będzie określone.

Radom. W roku przeszłym p. Józef Helbich urządził jarmark na inwentarz rozpłodowy, pierwszy tego rodzaju targ w Radomiu, i chociaż nie cieszył się on zbyt wielkiem powodzeniem, wykazał jednak, że w okolicy miasta są konie i bydło rasowe. Obecnie ten sam ruchliwy inicyator krząta się około urządzenia jarmarku świętojańskiego. „Wsie okoliczne — powiada p. H. — jako to: Jedlnia, Słupica i wiele innych słyną z tego, iż włościanie koloniści produkują nader praktyczne konie, nietylko folnarskie, ale bryczkowe, a nawet powozowe. Znaczne dochody, jakie włościanie z tego źródła w latach ubiegłych osiągnąć zdołali, zamieniły ten przemysł w amatorstwo i dziś spotkać można w tych wsiach konie zupełnie rasowe i dorodne. Udział w jarmarku gospodarzy wsi powyższych jest zapewniony, a termin świętojański, jako przypadający przed żniwami, da możność skompletowania koni roboczych, fornalskich, praktycznych, będących podstawą dobrej uprawy roli i prędkiego sprzętu zboża.“ — Cykliści miejscowi krzątają się około urządzenia własnego cyklodromu kosztem tysiąca rubli. — P. Antoni Pilecki wygłosił tu trzy odczyty o kobietach-poetkach na dochód miejscowej czytelni bezpłatnej.— Mieszkańcy Szydłowca uskarżają na brak kolektora lub kolektorki. Rozchodzi się tam rocznie kilkadziesiąt losów loteryi klasycznej za pośrednictwem żydów-handlarzy, pobierających za ćwiartkę rs. 18 kop. 50, a czasem i więcej.— Pod Sandomierzem plantatorowie buraków w promieniu cukrowni Częstocice, dotąd wyzyskiwani, postanowili wyzwolić się z zależności fabrykantów przez założenie własnej cukrowni.

Wilno. Wyścigi konne i wystawa wpłynęły ogromnie na ożywienie miasta. Co do pierwszych, zasługuje na uwagę jeden szczegół: niema totalizatora! Natomiast zakłady prywatne, czyli totalizator w innej formie, wzniecają gorączkę. Wyścigi odbyły się 20 i 21 b. m. Do rozegrania przeznaczono ogółem przeszło 9,000 rs., w tem 5,000 od głównego zarządu stadnin. Nagrody większe wynoszą: 2,500, 1,500 i dwie po 1,000 rs. Udział w tym sporcie biorą naturalnie konie czoła arystokracyi. Wystawa, jak zwykle, przeznaczona jest dla koni obywatelskich i włościańskich. Nagrody dla wierzchowców: medal złoty, rs. 500 w gotówce, pięć medalów bronzowych i tyleż listów pochwalnych. Dla koni roboczych obywatelskich: medal srebrny, dwa bronzowe i trzy listy pochwalne. Wreszcie dla włościańskich przeznaczono rs. 400. Gospodarzami wystawy i rzeczoznawcami są: ks. Gagarin, zarządzający stadninami państwowemi w okręgu wileńskim, marszałek Jan Ursyn-Niemcewicz, Stefan Wereszczaka, Bolesław Sakiel i Korwin-Kurkowski. — Z powodu zapowiedzianego monopolu wódczanego, wydobywane są na wierzch szczegóły statystyczne. Między innemi, według źródeł urzędowych, w kraju północno-zachodnim, z wyjątkiem gub. grodzieńskiej, jest 347 właścicieli propinacyj, tj. w gub. wileńskiej 127, kowieńskiej 10, mińskiej 89, mohylowskiej 80 i witebskiej 41. Propinacye te mieszczą się w czterech większych miastach i 343 miasteczkach, przynoszą zaś właścicielom czystego dochodu 185,547 rs.

Moskwa. Miejscowy organ, *Mosk. Wied.*, donosi, że ministeryum skarbu uchwaliło, iż po wprowadzeniu rządowej sprzedaży wódki, będzie dawać do handlu tylko wyroby, podlegające najwyższej rektyfikacyi. Nadto zastosowane będą jednocześnie środki przeciwko fałszowaniu win, wreszcie ma być wprowadzona akcyza od tych ostatnich. Wyłączne laboratoryum będzie dokonywało rozbiorów, tudzież oklejało banderolą własną i akcyzową butelki z winem, poddanem analizie. Akcyza pobierana będzie na dochód laboratoryum, zbywająca zaś część wpływów zostanie zużyta na poparcie rozwoju produkcyi win krajowych. — Do rzędu zmian, które będą wprowadzone w ustawie Akademii rolniczej piotrowsko-razumowskiej, należy jeszcze i organizacya ścisłego dozoru nad sposobem życia i zajęciami studentów. Koszt całkowitego utrzymania w internacie (a nie sama tylko nauka) wynosić ma rs. 400 rocznie. (Za ścisłość tego obliczenia nie ręczymy). Wychodzący ze stopniem agronoma kl. I będą korzystali z równych praw, co i kończący uniwersytety I-ej kategoryi. Stopień zaś agronoma kl. II daje te same prawa, co uniwersytety II-ej kategoryi.

Rostow nad Donem. Miasto, z natury swego położenia handlowe i ruchliwe, jest przedewszystkiem pierwszorzędnym rynkiem zbożowym. O jego zaś obrotach świadczy cyfra następująca: w ciągu roku ubiegłego port miejscowy wysłał za granicę 42 miliony pudów różnorodnego zboża. W chwili jednak obecnej, pomimo przyjaznych zmian w sferach polityki ekonomicznej, na rynku tym panuje pewna ospałość. — Miejscowa ludność polska, wynosząca około 2,000 osób, składa się z różnych warstw i żywiołów. Są między innymi urzędnicy kolejowi, lekarze, prawnicy, aptekarze, kupcy, inżenierowie, cukiernicy itd.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZE STOSUNKÓW HANDLOWO-ROLNYCH.

I.

Nasi ziemianie i nowoczesne stosunki rynkowe.— Prostota tranzakcyj na drobnym targu. — Niemożliwość jej na rynku wszechświatowym. — Konieczność regulatorów. — Tranzakcye terminowe i ich rola.

Gdyby zebrano wszystkie swojskie artykuły o giełdzie, grze na zwyżkę i grze na zniżkę, tranzakcyach na dostawę, okazałoby się naówczas, że w treści swojej stanowią one olbrzymi akt oskarżenia, wymierzony przeciwko wspomnianym instytucyom i urządzeniom. Znam nawet publicystów, którzy gotowi są wydać wyrok śmierci na wszystkie giełdy świata ze zniżkami, dostawami i innym właściwym jej rynsztunkiem. Naturalnie, ani chwili nie zamyślamy bronić spekulacyj i nadużyć, których widownią są te przybytki wielkiego handlu. Ale bądź co bądź winniśmy podnieść głos przeciwko tym, którzy z brudną wodą — jak mówi przysłowie — wyrzucają z wanienki dzieciaka. Giełdy bowiem, jakkolwiek są siedliskiem bezwstydnego szwindlu, są jednocześnie niezbędną instytucyą dla wielkich obrotów wymiennych, handel zaś na dostawę oraz gry na zniżkę i zwyżkę spełniają w ustroju wolnej konkurencyi nader pożyteczną rolę. Ażeby uwydatnić te strone ich działalności a zarazem rzucić światło na jedną z kwestyj, znajdujących się obecnie u nas na porządku dziennym, zatrzymamy się nad obowiązkami, przez nie spełnianymi w zakresie handlu zbożem. Nasi ziemianie wciąż jeszcze mają oczy zwrócone w kierunku ginących wzorów ekonomicznych i odznaczają się zupełną nieznajomością dzisiejszych stosunków rynkowych. A tymczasem ów rozwój, któremu podlega handel zbożem, a który zasadza się na tem, że wir wymienny z lokalnego staje się wszechświatowym, nie zaniedbał wywrzeć swoich skutków również w dziedzinie samej techniki handlowej, a zatem w naturze tranzakcyi i w sposobie dokonywania ich, w trybie wysyłania lub przechowywania transportów. Wszystko to bowiem przekształciło się do gruntu.

Ażeby zrozumieć owe zmiany, musimy choć chwilkę przypomnieć sobie starodawne stosunki, które zresztą jeszcze panują w naszym handlu zbożowym, zwłaszcza zaś w zakątkach, bardziej oddalonych od kolei żelaznych. Technika tam hołduje bardzo rutynicznym zasadom, szczególnie jeśli w okolicy przeważają niewielkie gospodarstwa. Po dokonanych zbiorach gospodarze masowo wywożą zboże na rynek. Żaden z nich nic nie wie ani o cenach, jakie panują na dalszych targach, ani o rozmiarach zapotrzebowania, reprezentowanego przez kupców. Zwykle w tej porze roku rynek zbożowy zostaje przeładowany, z czego korzystają naturalnie pośrednicy, znajdujący się zawsze w niewielkiej liczbie i mogący się pomiędzy sobą porozumieć. Ceny spadają i tradycya wiekowa utrwaliła już to zjawisko, że po żniwach zboże osiąga niskie ceny. Natomiast na przednówku widzimy zgoła coś odwrotnego: ceny idą do góry. Wogóle sprzedaż odbywa się w ciasnem kółku stosunków i wszystko zależy od istniejących w danej chwili warunków. Obfitość każdorazowego dowozu, rozmiary istniejącego na zboże zapotrzebowania, blizkość terminów podatkowych i inne tego rodzaju okoliczności wpływają na poziom kursów inaczej każdego dnia targowego. „Dzisiaj“ biegnie bez związku z „jutrem,“ pomiędzy jednym targiem a drugim niema najmniejszej ciągłości. Jeżeli najbliższego dnia wzajemna podaż i popyt ukształtują się inaczej, wtedy kurs może stanąć na zgoła innym poziomie, różnice zaś bywają bardzo znaczne. To też stale dostrzegamy w takich ustroniach: silny spadek cen na zboże po żniwach; podnoszenie się ich na jesień, kiedy pogoda popsuje drogi wiejskie i uniemożliwi dowóz; nową zniżkę, kiedy sanna ustali się; wreszcie znaczną zwyżkę na przednówku. Są lata, kiedy w ciągu roku wahania sięgają 100%! Innemi słowy, na drobnym, rutynicznym targu jesteśmy wciąż na łasce przypadku, a to dotyczy zarówno rolnika, jako też spożywcy.

Otóż nasi ziemianie wciąż sądzą, że w sferze międzynarodowego handlu zbożem mamy też do czynienia z podobnymi stosunkami. Zapominają o tem, że gdyby ci, którzy wysyłają ów produkt na rynki wszechświatowe, postępowali tak nieoględnie, jak to czyni rolnik w ustroniu ekonomicznem, wtedy narażaliby się na niepowetowane straty. Zaiste, trudno sobie odrazu przedstawić cały ogrom ekonomicznych zawichrzeń, gdyby transporty zboża w podobnie nieregularny sposób napływały na rynek chociażby londyński i skutkiem tego stwarzały na nim nadmiar produktu w jednym miesiącu, niedobór w innym. Pamiętajmy bowiem, że dowiezione zboże płynie z rynku londyńskiego na targi spożywcze. A zatem mechanizm wymienny musi tam funkcyonować z taką samą prawidłowością, z jaką potrzeby wielomilionowej rzeszy ludzkiej, po codziennem zaspokojeniu, codziennie się odradzają. Na całym tym obszarze, z którego zboże napływa do owego ogniska handlowego, musiały powstać urządzenia, któreby umożliwiły taką prawidłową działalność na rynku londyńskim i taki prawidłowy rozdział dowożonego tam zboża pomiędzy targi spożywcze. Czy są burze na morzu lub nie, czy w jakim kraju istnieją dobre drogi lub ich niema, czy na dworze jest wiosna lub jesień, okoliczności te w żaden sposób nie mogą wywrzeć swego wpływu,

bo nie powinny. Tego wymaga interes spożywców. Z drugiej znowu strony nie pozwala też na to interes dostawców. Nieregularny a dowolny dowóz, jaki spotykamy w ustronnym zakątku, wywołałby jak największe straty dla domów pośredniczących. Włościanie, skoro przeciążą targ w pewnym dniu, tracą na tem po kilkadziesiąt, najwyżej kilkaset kopiejek. Nieopatrzne przeładowanie wielkiego rynku przyprawiłoby pośredników o straty milionowe. A nadto powstałyby jeszcze szalone *faux frais* w handlu zbożowym, wynikające z poszukiwania miejsc składu na wypadek przeładowania rynku wszechświatowego, lub z próżnowania tych samych magazynów w razie niedowozu. A więc, mimo wzajemnej konkurencyi pomiędzy pośrednikami, muszą istnieć pewne urządzenia, któreby zniosły te wszystkie ujemne strony lub przynajmniej zmniejszyły ich napięcie. Z konieczności musi powstać taka instytucya, któraby udostępniła zgóry ogarnięcie nietylko bieżącej podaży i bieżącego pokupu, ale nadto związała dzień dzisiejszy z dalekiem jutrem i tem samem zabezpieczyła na przyszłość prawidłowe zaspokojenie potrzeb spożywców, uchroniła pośredników od strat z powodu nadmiaru dowozu, wreszcie oszczędziła społeczeństwu niepotrzebnych kosztów. Słowem, mimo anarchii rynku, musi na nim ukazać się organizacya, że tak powiem, natury statystycznej, ale obywająca się bez urzędu statystycznego, organizacya, któraby dobrze znała potrzeby spożywcze i wskazywała rynkom eksportowym chwilę dowozu zboża wraz z rozmiarami. Organizacya ta musi wziąć pod uwagę wszystkie możliwe okoliczności danej chwili i na ich zasadzie przewidzieć dalszą przyszłość. Deszcze, które w Anglii zniszczyły nadzieję dobrych plonów; posucha, która zapanowała w jakimś kraju wywozowym i każe domyślać się, że nie wyśle on odpowiednich transportów; zakazy wywozu, które gdzieś wydano—wszystkie te okoliczności, które dopiero kiedyś oddziałają, winny już dzisiaj w owem obliczeniu i rachunku statystycznym być uwzględnione, a następnie przedsięwzięte środki celem uniknięcia wypływających z tego źródła zawichrzeń. Rolę tego rodzaju strategików na rynkach wszechświatowych spełniają domy komisowe. Otrzymawszy odpowiednie zamówienia ze strony targów spożywczych, wyrabiają one sobie — mniejsza za pośrednictwem jakich organów — ogólne pojęcie o sposobach zaspokojenia tego zapotrzebowania, na długi przeciąg czasu. Owe wskazówki ze strony grup spożywczych dostają pośrednicy pod postacią zakupów na dostawę od młynarzy, sami zaś pośpieszają z podobnemi zamówieniami względem rynków wywozowych. Kupna te polegają na wzajemnem zobowiązaniu nabycia po takiej to a takiej cenie zboża określonej jakości, które w umówionej masie winno być dostarczone w takim to a takim czasie na dany rynek — przytem nabywca może odstąpić swoje zobowiązanie chociażby setnej ręce, nadto zaś istnieje w pewnych granicach możność załatwienia tranzakcyi nie koniecznie bezpośrednim produktem. Naturalnie, ogół owych pośredników, funkcyonujących na centralnym rynku, należy uważać, pomimo wzajemnego pomiędzy nimi współubiegania, za jedno kółko w mechanizmie wszechświatowego handlu zbożem. Rozkłada on w postaci zakupów terminowych swoje zapotrzebowanie zboża na cały rok, rozmiary zaś tych tranzakcyj i chwilę ich spełnienia rozdziela w ten sposób, że stale z dnia na dzień będzie otrzymywał na swój rynek prawidłowy dopływ zboża i przeznaczał go pomiędzy rynki spożywcze. A kupno na dostawę przez pośrednika środkowego jest jednocześnie zobowiązaniem się pośredników z rynków eksportowych do dostarczenia zboża na tamten w określonym czasie. Ci znowu czynią odpowiednie zakupy na dostawę u kupców z pomniejszych rynków. W ten sposób, drogą zakupów terminowych, pośrednicy wywozowi otrzymują wskazówki, jakie są istotne potrzeby rynku centralnego, tj. kiedy mają wysyłać zboże, jak wielkie ekspedyować ładunki. W ten sposób do pewnego stopnia ustaje ryzyko. Firma eksportowa nie potrzebuje obawiać się, że wyśle zanadto wielki transport w najniewłaściwszym dla sprzedaży czasie, ani też nie naraża się na straty z tego powodu, że poczyni zakupy w nieodpowiedniej porze i będzie ponosiła najniepotrzebniej koszta przechowania. Możemy zatem ocenić całą niestosowność żądań ze strony rolników wschodniej Europy, ażeby rządy ustanawiały w Londynie biura komisowe, do którychby w każdej chwili rolnicy mogli wprost nadsyłać zboże — gdyby coś podobnego stało się w taki małomiasteczkowy sposób, fiasko byłoby zupełne, straty zaś ogromne. Słowem, handel terminowy staje się niezbędną instytucyą, odkąd obroty zbożem przybrały postać złożoną, wymiana zaś z miejscowej zamieniła się na międzynarodową. Każda firma pośrednicząca działa na własną rękę. Gdyby więc nie było maszyneryi regulującej, jaką są tranzakcye na dostawę, naówczas wobec owej samodzielności zapanowałby chaos nie do opisania: zboże musiałoby odbywać niepotrzebne transporty i cofać się z jednych rynków na inne, leżeć długo w składach bez pożytku, ceny wahałyby się silnie. Tymczasem handel na dostawę zaprowadza w tem wzajemnem zahaczeniu pojedynczych chęci i pojedynczych czynów jakby porządek, jest niby ręką, która zapobiega niedoborom i wstrzymuje wygórowane napływy, wiąże dzień dzisiejszy z dalekiem jutrem. Naturalnie nie usuwa ona wszystkich skutków, płynących z wzajemnej niezależności odrębnych pośredników; jednakże jak szluzy regulują poziom wody w kanale, tak samo zakupy i sprzedaże terminowe oddziaływają na potok zbożowy. A wraz z koniecznością takiego regulatora zjawia się potrzeba miejsc, gdzieby on działał. Ukazują się więc giełdy zbożowe. Czemkolwiek są one ze stanowiska handlowego, z punktu widzenia społecznego spełniają następującą rolę. W postaci osób, które w sali giełdowej, posiadającej kilkaset łokci kwadratowych powierzchni, czynią zakupy terminowe lub zobowiązują się do sprzedaży na dostawę,ześrodkowywa się cała statystyka rynku, obliczona na idące po sobie pory roku. Walki na zniżkę i zwyżkę są tam regulatorami, żywiołowo-poprawiającymi błędy w tem podobnie żywiołowo i bezładnie dokonanem obliczeniu statystycznem. Gra na zniżkę wstrzymuje nadmierny dowóz, na zwyżkę — zapobiega możliwemu niedoborowi. W postaci znowu sprzedawców na dostawę na giełdzie centralnej zjawia się organ, który o tej statystyce zaniesie wiadomość do rynków wywozowych. W ten sposób powstają zahaczenia terminowe, biegnące od większej giełdy do mniejszej i umożliwiające prawidłowe zaspokojenie potrzeb spożywczych, a nadto zapobiegające nieopatrznym transportom.

Taką jest istotna rola tranzakcyj terminowych. Wprawdzie dają się słyszeć głosy, gotowe widzieć w obrotach na dostawę jedynie wynalazek spekulantów i powołujące się na tę okoliczność, że owe obroty są pozorne, gdyż zboże ukazuje się w ostatniej chwili, niekiedy zaś nawet wtedy może się nie ukazać i jedynie bywa wypłacaną różnica pomiędzy bieżącym a umówionym kursem. Zarzuty tego rodzaju najwymowniej świadczą o tem, że osoby, je czyniące, zgoła nie uświadamiają sobie znaczenia tranzakcyj terminowych. Zadanie bowiem tego rodzaju operacyj bynajmniej nie polega na istotnym akcie zakupna, ale na regulowaniu rozmiarów i kierunku transportów, wreszcie na wyznaczaniu chwili, kiedy winny być one wysłane, względnie doręczone. A że w kupnie terminowem gra giełdowa znajduje dla siebie nader wdzięczne pole, okoliczność ta wcale nie zmienia roli społecznej, spełnianej przez operacyę terminową.

A zatem, jak widzimy, technika wszechświatowego handlu zbożem poważnie różni się od techniki handlu na targu małomiasteczkowym. W tamtym istnieje, bo musi istnieć mechanizm kontrolujący, powiadamiający o tem, jakie i w jakiem miejscu winny istnieć zapasy. A zjawienie się takiego regulatora stanowi istotną rewolucyę, o której doniosłości rolnicy nasi mają bardzo słabe pojęcie. Przytem ów przewrót rozciąga się jeszcze dalej. Wielki handel zbożowy, posługujący się giełdami jako miejscami tranzakcyj, kupnem i sprzedażą na dostawę, jako sposobami jej dokonywania, taki handel poczyna stawiać technice swojej jeszcze dalsze wymagania, od których istnienia zależy wywóz zboża i dobrobyt rolnika w kraju eksportowym. Rozpatrzymy je następnie.

K. R. Ż.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Departament obcych wyznań zalecił podwładnym instytucyom w prowincyach nadbałtyckich pilne przestrzeganie przepisu, aby pastorowie luterańscy posiadali obowiązkowo znajomość języka ruskiego. W przeciwnym razie usunięci będą z zajmowanych posad.

— Do składu komisyi dla zrewidowania ustaw sądowych zaproszono adwokatów Spasowicza i Plewakę.

— Departament wyznań obcych opracował nową ustawę, na której zasadzie będą skasowane patronaty ziemiańskie w sprawach kościoła ewangelicko-luterańskiego. Mianowanie pastorów na probostwa odbywać się odtąd będzie nie z wyboru i na życzenie ziemian, lecz z mianowania departamentu wyznań, przyczem kandydatów będą przedstawiali temu ostatniemu — generalni superintendenci.

— Ministerya: skarbu i spraw wewnętrznych postanowiły przyjść z pomocą tworzeniu w obrębie państwa domów pracy.

— Ogólna liczba rekrutów, którzy będą powołani w r. b. do służby wojskowej, wynosi 270,000, nadto 2,400 kozaków.

— Wszystkich wogóle aresztantów różnych kategoryi, zesłanych roku przeszłego do Syberyi, było około 10,000 osób płci obojej.

— W petersburskiem Towarzystwie technicznem postawiono na porządku dziennym sprawę unormowania dnia roboczego w zakładach przemysłowych i warsztatach rzemieślniczych. (*Now. Wr.*).

Szkoły. W uniwersytecie petersburskim egzaminy rozpoczęły się 17 b. m. przed komisyami prawną i matematyczną; w Instytucie inżenierów komunikacyi zaczęły się 24 marca, skończyły 2 maja. Studenci wysyłani są do zajęć praktycznych na kolejach żelaznych. W instytucie technologicznym egzaminy trwają od 23 b. m. do 5 czerwca, poczem studenci udadzą się na ćwiczenia praktyczne w fabrykach, na kolejach itd.

— W Instytucie inżenierów cywilnych po egzaminach otwarta będzie 1 czerwca wystawa prac wychowańców.

Wystawy i zjazdy. Departament handlu wzywa interesowanych do udziału w międzynarodowej wystawie w Amsterdamie, która się odbędzie między 4 a 25 lipca.

— Kongres robotników górniczych w Berlinie uchwalił: Uznaje organizacyę stanu robotniczego za jedyny środek wywalczenia płacy, wystarczającej na potrzeby życia. Żadna sprawa, dotycząca płacy, nie może być załatwiona bez dostarczenia interesowanym istotnej zniżki cen sprzedażnych. Wnioski, dotyczące zmniejszenia dnia pracy i zmiany kapitalistycznego ustroju społeczeństwa na ustrój pomyślniejszy, odrzucono. (Telegram Agencyi półn., według *Kur. warsz.*).

Zdrowie publiczne. Wobec kilku wypadków cholery za rogatkami jerozolimskiemi w Warszawie, otwo-

rzono tam bezpłatną herbaciarnię i wogóle wzmocniono dozór zdrowotny.

— Dn. 17 maja w szpitalu Dzieciątka Jezus zmarło 5 osób na cholerę; 1 wyzdrowiała. Tegoż dnia pozostało na kuracyi 13.

— W Krakowie po dokonanych rewizyach sanitarnych zamknięto sześć piekarń.

— Komisya petycyjna sejmu bawarskiego oświadczyła się jednym głosem większości przeciw paleniu zwłok.

Zmarli. Władysław Gościmski w Warszawie, artysta malarz, zdolny pejzażysta. Czerpał tematy do swych obrazów głównie z widoków Królestwa Polskiego. Kilka ostatnich jego prac znajduje się obecnie na wystawie Towarzystwa sztuk pięknych i w Salonie artystycznym.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Władysławowi B. W zagadnieniach tego rodzaju nie można ważyć tylko potrzeb i korzyści ogółu, ale także i przedewszystkiem uzdolnienia jednostki. Zarówno ona, jak społeczeństwo tak małą mieć będzie pociechę z lichego uczonego, jak z lichego praktyka. Naród zaś w każdym czasie i w każdej doble swego życia pragnie mieć ludzi dzielnych, bez względu na charakter ich pracy. Co do studyów w dziedzinie społecznej, przyrodoznawstwo może być pomocnem, ale wiedzę specyalną zdobyć należy.

Z. S. Nie dla nas.

Pani Reg. P. w Krakowie. W utworze tym jest wiele szczegółów dobrze zaobserwowanych i zużytkowanych, ale całość przepełniona sentymentalizmem.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Ценаурою, Варшава 13 Мая 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.